Cena 40 gr. PO KONFISKACIE NAKŁAD DRUGI Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

28 Luty 1937 r. Niedziela Rok II. Nr. 13 (12)

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

TREŚĆ NUMERU: *Prof. St. Estreicher:* „Wyzwolić energję Państwa". — *Tot.:* Raptularz tygodniowy. — *R. Świętochowski:* Po deklaracji. — *Jen. Marjan Kukiel:* Stulecie zgonu Puszkina. — Akcesy. — *Ksawery Pruszyński:* Katolicyzm i socjalizm. — Kronika zagraniczna. — Przypomnienia. — *I. Pannenkowa:* Pisarze odważni i prześladowani. — *Dr. Stefan Kramsztyk:* Metamorfoza i kryzys człowieka. — *Cyrano:* Preteksty. — *Wassan - Girej Dżabagi:* Teokracja japońska. — Książki nadesłane. — Przegląd prasy krajowej. — *Azet.:* Z prasy zagranicznej.

NASZA ANKIETA

Odpowiedzi na naszą ankietę rozpoczynamy artykułem znakomitego uczonego, byłego Rektora Wszechnicy Jagiellońskiej, Profesora Dr. Stanisława Estreichera. W następnych numerach ukażą się dalsze, już nadesłane, odpowiedzi. (Redakcja).

STANISŁAW ESTREICHER

„Wyzwolić energję Państwa"

Wbrew antyparlamentarnym nastrojom, jakie szerzą się dzisiaj z dwóch ognisk (z Niemiec i Włoch — ustrój sowiecki stoi poza „Europą"), nie jestem zdania, jakoby rola parlamentaryzmu była zakończona i jakoby należało budować u nas ustrój, ufundowany jedynie na „wodzu" i „monopartji". Ustrój monopartyjny — w naszych przynajmniej warunkach — nie wyzwoliłby ze społeczeństwa owej „maksymalnej energji państwa", o której wspomina ankieta w numerze 11 „Odnowy"; wprost przeciwnie energja jego zużyłaby się szybko w tarciach wewnętrznych. Małą tego próbką, ale chyba wymowną, są dzieje ostatnich kilku miesięcy.

Państwo polskie znamionuje zbyt wiele wewnętrznych sprzeczności, aby mogło pozwolić na monopoliczne rządzenie przez jedną partję, cóż dopiero jedną klikę, gdyby jej nadać monopoliczne stanowisko. Wszak klika — to grupa osób, nie mających silniejszego moralnego w społeczeństwie oparcia. Jakżeby mogła jakakolwiek klika — choćby ją nazwać i najpiękniej np. elitą polityczną, legjonem „zasłużonych" lub t. p. — wyłonić z siebie silny rząd? Jakżeby dokazała tej sztuki, aby pociągać ludność do nieustannych, nieraz prawie że nadmiernych ciężarów na rzecz państwa, i wymagać, aby były znoszone na jej wezwanie z cierpliwością, jeśli już nie z zapałem?

Niema w Polsce innej drogi dla rządu, chcącego mieć oparcie w społeczeństwie — jak tylko droga powrotu do parlamentaryzmu. Powrotu do parlamentaryzmu rzeczywistego, a odwrotu od fikcyjnego. Parlamentaryzm prawdziwy spełnia ważne zadania: jest klapą bezpieczeństwa dla krzywd i skarg, jest terenem wyrównawczym dla najjaskrawszych przeciwieństw społecznych i narodowych, jest organem kontrolującym urojone i możliwe nadużycia, wciąga do funkcji państwowych ogół, zespala go moralnie z państwem i wytwarza aktywizm polityczny... — ale przedewszystkiem zmusza w najważniejszych sprawach do porozumienia między rządem a społeczeństwem. Pozornie tylko odbiera rządowi jego siłę i powagę — w rzeczywistości jest tej siły i powagi fundamentem.

Gloryfikując w ten sposób parlamentaryzm, nie mam na myśli suwerenności parlamentu, ani nawet jego „supremacji" czyli sejmokracji. Wszędzie, gdzie parlament uznał się „władzą" i próbował państwem sam rządzić, bardzo szybko bankrutował. Ciało wielogłowe, niefachowe, nieodpowiedzialne, targane zmiennemi nastrojami, zupełnie się do tego nie nadaje. Nie może ono ani stworzyć ani przeprowadzać gospodarczego lub politycznego programu — może tylko program rządu popierać, kontrolować lub krytykować.

Sejmokracja jest u nas w opinji publicznej tak gruntownie skompromitowana, a przez istniejącą obecnie konstytucję tak utrudniona, że nie sądzę, aby sytuacja obecna wymagała dalszej z nią walki. Natomiast trzeba walczyć w obronie myśli, że istnienie parlamentu jako organu łączącego rząd ze społeczeństwem jest w Polsce koniecznością. Musi on istnieć nie jako podmiot rządzący, ale jako „instrument rządzenia", bez którego żaden rząd rządzić dobrze nie potrafi. Nietylko jego atrybucja, ale także jego skład muszą być do tej funkcji dostosowane — a dzisiejsza ordynacja wyborcza nie czyni temu zadość, stwarzając w Polsce tylko namiastkę narodowej reprezentacji.

Jako punkt wyjścia, jako pierwszy warunek usunięcia panującej w Polsce „dekompozycji" — (a fakt jej istnienia przyznają nawet zwolennicy obecnego systemu) — uważam zmianę ordynacji wyborczej. Powinna być ona zmieniona w tym kierunku, aby obie izby parlamentarne związać ze społeczeństwem, umożliwiając parlamentowi rolę organu kontrolującego i wyrównującego sprzeczności, istniejące wśród ogółu obywateli.

Jakiekolwiek są wady obecnej (z r. 1935) Konstytucji, to nie sądzę, aby należało zaczynać usuwanie „dekompozycji" od jej zmiany. Ma ona bardzo wiele stron dodatnich, a jej braki dadzą się dość łatwo naprawić w dalszej przyszłości przez nowelizację pewnych szczegółów. Natomiast ordynacja wyborcza po krótkiem doczesnem istnieniu okazała się nieodpowiednią i dojrzała do pogrze-

bania. Odnosi to się zarówno do ordynacji wyborczej sejmowej jak senackiej.

Zarówno przepisany przez ordynację sejmową skład zgromadzeń okręgowych, zgłaszanie kandydatów na posłów, atrybucje i skład komisji wyborczych, jak i kryterja co do przyznania czynnego prawa wyborczego przy wyborach do senatu — wszystko to są sztuczne, dziwne i dyskredytujące wynik wyborów przepisy, które sprawiają, że żadna z izb parlamentarnych nie posiada ogólnego zaufania i nie może być sprawnym instrumentem politycznym. Trzeba powrócić do zasady, iż wybory, to głosowanie „ludu", a nie mianowanie z góry. Jeśli mają być uzupełnione mianowaniem, jak to art. 47 Konstytucji, mówiąc o senacie, przewiduje, to niech to będzie otwarcie i lojalnie przewidziane, ale nie przemycane.

Przyszła ordynacja wyborcza do sejmu powinna mojem zdaniem być oparta na cztero-przymiotnikowem głosowaniu. Zasada proporcjonalna okazała się u nas szkodliwą i nie sądzę, aby powrót do niej był, wskazany — chyba gdzieś w jakichś wyjątkowych wypadkach, np. dla zapewnienia obrony mniejszościom narodowym w niektórych okręgach. Należy unikać głosowania na numery — to dało złe rezultaty, — ale niemniej należy przywrócić stronnictwom politycznym wpływ na wybory przez przyznanie im możności stawiania kondydatów. Stronnictwa polityczne jawne, karne i silne są dodatnim czynnikiem życia politycznego. W każdym razie chroni to życie od organizacyj spiskowych, od tworzenia samozwańczych konspiracyj i zamachów ze strony klik. Nawet ostrą walkę między stronnictwami wolę — aniżeli amorfizm polityczny, jaki dzisiaj w społeczeństwie widzimy, lub intrygi zakonspirowanych i zakulisowych grup w sejmie i senacie.

Wybory powinny być legalne i swobodne, a stać tylko pod nadzorem ze strony rządu. Jego to rolą jest dbać o to, aby stronnictwa radykalne (po prawej i po lewej stronie życia politycznego), operujące demagogją, bojówkami, obelgami i terrorem, nie mogły przytłumiać żywiołów umiaru i spokoju. Rządy w Polsce — tak wewnętrznie różnolitej — powinny zawsze przeciwstawiać się demagogji i radykalizmowi, jeśli nie chcą, by polityczne nasze życie przerodziło się w *bellum omnium contra omnes.* Rząd wedle dzisiejszej Konstytucji ma dostateczną władzę, aby zrównoważyć tę przewagę, jaką ma lekkomyślna demagogja i terror radykalnych haseł w stosunku do głosów umiarkowania.

Art. 47 obecnej Konstytucji (a stoję wciąż na jej gruncie) przewiduje, że senat ma się składać z senatorów powołanych w 1/3 przez Prezydenta Rzeczp., a w 2/3 w drodze wyborów. Jednakże mianowania i wybory, przeprowadzone na zasadzie tego artykułu, zawiodły — senat nie posiada dostatecznego autorytetu ani wobec rządu, ani wobec sejmu, ani wobec społeczeństwa. Sądzę, że należałoby uzupełnić artykuł 47 Konstytucji zastrzeżeniem, wprowadzonem do ordynacji, aby mianowania dokonywane były na wniosek rady gabinetowej z pośród ludzi, wyróżniających się pracą dla państwa, doświadczeniem politycznem, znajomością interesów gospodarczych, stanowiskiem w Kościele lub w nauce. Ordynacja senacka powinna określić, iż senatorowie mianowani muszą się rekrutować z pomiędzy byłych ministrów, byłych naczelników lub członków pewnych władz (np. Trybunału administracyjnego, Sądu Najwyższego), działaczy samorządowych (np. prezydenci miast), kierowników pewnych związków gospodarczych, wybitnych uczonych (członków Akademji lub profesorów szkół wyższych), członków kapituł lub episkopatu i t. p. Kapitał wiedzy, doświadczenia politycznego, znajomości życia ekonomicznego i religijnego, gromadzący się w społeczeństwie, nie leżałby wtedy martwo i mógłby być należycie zużytkowany — nawet przy brzmieniu art. 47 dzisiejszej Konstytucji, nie przewidującej, aby go inną drogą można wprowadzić. Pozatem dawałoby to gwarancję, że przynajmniej w tej 1/3 części senatu znajdzie rząd oparcie w każdej trudności dla państwowego swego programu; a wreszcie, że senat będzie posiadał wysoki w społeczeństwie autorytet. Druga część (i to dwie trzecie) ma być wedle art. 47 opartą na wyborach; nie wydaje mi się, aby dzisiejszy system wyborów, ograniczonych do szczupłej grupy osób (obdarzonych orderami, stopniami i godnościami przez rząd) mógł się przyczynić do podniesienia roli senatu w stosunku do ludności czy do sejmu. W każdym razie stał się przyczyną zbojkotowania tych wyborów bodaj przez 2/3 społeczeństwa.

Reforma systemu wyborczego — to w mych oczach rzecz najpilniejsza dla usunięcia politycznego amorfizmu, apatji mas, szerzącej się w nich niechęci, tworzenia się jakichś niewyraźnych grup i walki klik dookoła rządu polskiego. Czujemy chyba wszyscy niebezpieczeństwo takiego stanu rzeczy wśród burzliwych dzisiejszych czasów. Nie żyjemy w czasach normalnych ani spokojnych — w epoce Biedermajera. Na horyzoncie międzynarodowym gromadzą się chmury, z których mogą niespodziewanie wypaść pioruny. Wilki i tygrysy prężą już swe ciało do skoku. Siła nienawiści narodowych i rasowych wzrasta z dnia na dzień, a autorytet etyczny i religijny wciąż maleje. Wewnątrz państwa rośnie niebezpiecznie pauperyzacja ogólna wszystkich warstw bez wyjątku, a meteorologja polityczna notuje codzień zwiększające się nasilenie wiatrów od Wschodu. Aby społeczeństwo z niebezpiecznego położenia wyprowadzić, potrzeba nam wielkiego zbiorowego wysiłku; wykrzesać go i pokierować nim może tylko rząd rozumny — ale rząd, związany jak najsilniej z całością narodu, rząd zaufania. Żaden inny rząd, otoczony podejrzliwością, niechęcią i apatją, — nie potrafi tej herkulesowej pracy dokonać.

Raptularz tygodniowy

(WYJĄTKI).

*

22.II. Uchwała Rady Ministrów, zmieniająca granice województw warszawskiego, pomorskiego i poznańskiego, powiększająca niezwykle dotychczasowy obszar województwa pomorskiego, jest uchwałą ważną. Nie jest wiadomem, dlaczego teraz właśnie nastąpiła? Jest że to zabieg gospodarczy? polityczny? Jaka będzie technika tej przeprowadzki? Od czasu ustalenia administracyjnego podziału Rzplitej jest to bodaj czy nie najważniejsza zmiana. Ponieważ powstanie okręgu przemysłowego w Sandomierszczyźnie pociągnie za sobą bez wątpienia również konieczność podobnych zmian, wydawałoby się wskazanem uczynić je odrazu za jednym zamachem, rewidując równocześnie podział terytorjalny innych urzędów II-ej instancji.

*

23.II. Nigdy chyba jeszcze o żadnej fundacji tyle nie napisano jeszcze przed wejściem jej w życie, co o t. zw. fundacji Jakóba Potockiego. Ileż to procesów, aresztowań, gróźb, dymisyj i odwołań nagromadziło się w tej pod jakąś złą gwiazdą poczętej instytucji. Na dobitkę poseł Choiński - Dzieduszycki w sejmie omówił dziwaczne zachowanie się rejenta, spisującego ostatnią wolę zmarłego. Rejent jakoby oddziaływał na wykonawców testamentu i to nie byle jak, bo groźbą przekazania sprawy sędziemu śledczemu, co też ostatecznie się stało. Ale równocześnie wykonawcy testamentu zapowiadają akcję, wobec której to wszystko, co dotąd się stało, ma być bladym cieniem. Nasuwa się jedna uwaga. Jakkolwiek ubogiem jesteśmy społeczeństwem, samo przez się jasne, że w takich wypadkach powinniśmy umieć czekać. Państwo ma także swoją godność, a zbiorowość swoją etykietę. Fundacja ma być wieczną. Więc jeden czy drugi rok fundacja mogła była poczekać na rozpoczęcie swej działalności, jeśli sytuacja tego wymagała. Jeśli świętą była wola testatora, zapisującego książęcą fortunę państwu polskiemu, uszanowaną powinna być wola jego, naznaczająca wykonawców testamentu. A szalony pośpiech Rady fundacji, rejenta, prasy, ogłaszającej coraz nowe rewelacyjki, przypominał — wybaczcie panowie — rechot szakali raczej a nie zbożne wykonywanie tego, czego życzył sobie zmarły fundator.

*

24.II. Na tłumnem zebraniu we Lwowie odczytano referat znakomitego znawcy stosunków profesora Eugenjusza Romera, który zestawił liczby, stwierdzające jak na dłoni, że od roku 1927 cofamy się gwałtownie w stanie naszego posiadania w Małopolsce Wschodniej na korzyść Ukraińców, a proces ten przyśpiesza z niebywałą dokładnością obecna forsowna parcelacja, dokonywana t a k ż e na kresach wschodnich. Jest rzeczą zdumiewają-

R. ŚWIĘTOCHOWSKI.

Po deklaracji

Przemówienie pułk. Koca nastąpiło w warunkach tak osobliwych i na tyle jest związane z okolicznościami ubocznemi, że bez względu na swoją treść nader ogólnikową i formę przezornie ostrożną, stało się wypadkiem politycznym, wymagającym nieco uwagi.

Historja obozu pomajowego nie obfituje w tezy programowe, które wyraźnie rozdzielają zwolenników od przeciwników. Hasło „sanacji" moralnej i walki z „partyjnictwem" nie wyczerpywało ogromu zagadnień ideologicznych. Bezpartyjny blok współpracy z rządem był mimo okazałości pustym balonem, wydętym przez mocną wolę jednego człowieka. To też balon zniknął, gdy wola zniknęła. Potem nastąpiła „dekompozycja" tych czynników, które trwały w sztucznem połączeniu. Rozkładowi wewnętrznemu towarzyszył nacisk społeczny i stawało się coraz bardziej jasnem, że życie Polski podlegnie hazardom nieopanowanych zdarzeń, o ile nie nastąpi zestalenie poglądów tam właśnie, tam — w obozie rządzącym, gdzie tkwi największa odpowiedzialność za losy państwa.

Na szczęście Polska posiada zorganizowane i świadome celów stronnictwa, które uregulowały poszczególne nurty społeczne i wielokrotnie przeciwdziałały rozkładowi ogólnemu. Powstało zjawisko jedyne w swoim rodzaju, że opozycja była tym twórczym czynnikiem, który stwarza głębokie podstawy do pozytywnej pracy. Zapewne, siła mechaniczna państwa jest tak sprawna, a inercja aparatu administracyjnego, puszczonego w ruch, tak wielka, że pozory prawidłowego przebiegu życia pozostały. Ale nie było już męża stanu w Polsce, któryby nie dostrzegał niebezpieczeństwa przyszłego, sądząc z nagromadzenia się trudności, z braków, błędów i rosnącego zniechęcenia.

Trzeba przyznać, że zrozumiano to dawno. Minęło już dwa lata od chwili, kiedy najwyższe czynniki rządzące dostrzegły rolę społeczeństwa w zadaniach ogólno - państwowych. Minął prawie rok, kiedy w sferach elitarnych zaczęto rozważać wytyczne programu konsolidacyjnego. Z ogromnym nakładem czasu, pracy i pieniędzy skarbowych badano sposoby trafienia do serc i rozumów narodu. Przeczytano setki raportów z całego kraju. Odbyto niezliczoną ilość posiedzeń, narad, odpraw, posłuchań, polemik. Zmobilizowano najlepsze siły — w zakresie własnej możliwości — dla zorganizowania ruchu masowego. Sondowano skrupulatnie opinję publiczną. Zapewniono sobie akcesy ugrupowań zależnych. Nie śpieszono się. Owszem, wciąż odkładano decyzje ostateczne w przeświadczeniu, że gra idzie o stawkę wielką, wielką conajmniej dla inicjatorów i wykonawców. Wreszcie, jeśli chodzi o reżyserję zewnętrzną, wytwarzającą pożądane tło dla powagi i rozgłosu występu, to także nie szczędzono pomysłów, kosztów i wysiłków, aby deklaracja programowa ukazała się w blasku odpowiednim dla jej spodziewanego znaczenia.

Nie posiadamy dostatecznych danych, aby zobrazować wypadki, rozgrywające się wsród licznych kandydatów do władzy. Nie znamy również stopnia zainteresowań zagranicznych zarówno ze strony przyjaciół, którzy pragnęliby poprawy i stabilizacji stosunków, jak i ze strony wrogów, którzy dybią na słabość naszego państwa. Wszelako nie trzeba być jasnowidzem, żeby z teoretycznych przesłanek wnioskować o tarciach, jakie nasunęły się przy powzięciu wiążącej decyzji. Fakt, że przemawiał pułk. Koc, a nie kto inny, fakt odbarwienia deklaracji z kolorów jaskrawych, fakt przeciwstawienia się prowokacjom skrajnym — wszystko to należy właśnie do tych okoliczności ubocznych, które każdej deklaracji, bez względu na jej treść i formę, nadają piętno szczególnego znaczenia.

Programy potężne, jak np. deklaracja praw człowieka i obywatela we Francji, są emanacją potęgi. Rozlewają się przez wszystkie kraje i trwają przez długie czasy. Tam, gdzie potęgi niema, a jest jedynie wysiłek do uporządkowania stosunków wśród samych organizatorów, tam nie należy wymagać i oczekiwać objawień politycznych. A wtedy nietylko to jest ważne, jakie ziarno rzucono w posiewie społecznym, ale i to, jaka gleba go przyjmuje, jaka hodowla i opieka otoczy wschodzące kiełki. Nie było jeszcze nigdy takiego programu i takiego stronnictwa, które nie musiałoby wytrzymać próby życia praktycznego. Czyny nie są mniej ważne od teorji je poprzedzającej. Że zaś wiemy, jak daleko i opacznie może być posunięta interpretacja tez, zdawałoby się jednoznacznych, przeto z osądem należy poczekać na czyny i na tłomaczenie praktyczne wskazań ogólnikowych.

Pomimo wydajnej pomocy rząd nie ogłosił oficjalnego poręczenia na obligach ideologicznych pułk. Koca, jako że organizowanie własnego obozu nie jest jeszcze zjawiskiem ogólno-państwowem. Mądrość polityczna może być tylko oceniana a posteriori. Opory są jeszcze duże do przezwyciężenia, a referencje z przeszłości nie tak świetne, aby zasługiwały na kredyt nieograniczony u czynników nadrzędnych.

Dotychczas zwracaliśmy uwagę na warunki uboczne, które wydźwignęły deklarację pułk. Koca na szczyt zainteresowania powszechnego. Pozostaje określić nasz stosunek do treści samej deklaracji i postawić prognozę powodzenia dla osób działających. Otóż, nie takie słowa doradzalibyśmy przy zwracaniu się do całego narodu i nie takich mężów stanu wskazywalibyśmy do realizacji tych zamierzeń. Ale to jest wiadome. To jest rola opozycji. Żeby jednak opozycja nie było gołosłowną, lecz rzeczowo uzasadniła swoje stanowisko, wskażemy na przyczynę główną, którą już wskazano w publikacjach całej pracy niezależnej: ogólniki nie porywają ogółu.

Ponadto w treści deklaracji nie dostrzegliśmy najważniejszego bodaj punktu, że Rzeczpospolita należy do wszystkich, a nietylko do wybranych, że nie można mówić o braterskiej współpracy, a jednocześnie tolerować system, gdzie już nie współpraca, ale nawet współobecność staje się niemożliwa dla zasłużonych i najzasłużeńszych w pracy narodowej. Więc albo sprzeczność będzie usunięta, albo deklaracja pozostanie obca, daleka, martwa dla trzech czwartych — może więcej — obywateli.

---

cą, że obóz, który chce sprowadzić rzekomy renesans nacjonalizmu, tak dalece nie odróżnia frazesu od rzeczywistości, że systematycznie od lat godzi się na zmianę w układzie sił na niekorzyść Polaków we własnem państwie i na zagrożonych narodowo terenach. Jeśli ktoś na serjo mówi o silnem państwie, nie może wypuszczać z rąk ziemi, która zresztą nigdy inną a tylko polską była. Jak pogodzić wielkie słowa z małemi i szkodliwemi czynami, to pozostanie wielką tajemnicą tych, którzy na Warszawę mają wolę mocarstwową, a nad Dniestrem już tylko wólkę - ukraińską.

*

25.II. Plan stworzenia i wykończenia Centralnego Okręgu Sandomierskiego (O. C. S.) wymaga szczegółowego rozpatrzenia i poprostu informacyjnego opracowania. Dyskusja nad wielkim planem vicepremjera Kwiatkowskiego jak nagle się zaczęła, tak nagle przygasła. Publicysta polski byłby w kłopocie, gdyby chciał mówić, czy choćby zaznajomić się dokładniej z całym problemem. Są szczęśliwsi od niego. Prasa niemiecka powołuje się na jakiś materjał informacyjny (broszury, plany, które nie znajdują się jeszcze u nas w handlu księgarskim, a które znalazły już drogę do redakcyj niemieckich (Königsberger Allgemeine Zeitung z 10.II i Rheinisch - Westphällische Zeitung z 15.II). Dlaczego jednak te dzienniki, poza właściwą im dawniej skłonnością do dokładnych informacyj, tak precyzyjnie interesują się narodzinami polskiego O. C. S.? Trudno zgadnąć przyczynę, ale może pewną pomoc znaleźlibyśmy w wykazie na nowo zamrożonych należności polskich w Niemczech. Osiągają one niezwykłą, jak na te ciężkie czasy, sumę 500 (pięćset) miljonów złotych).

*

26.II. „Zaczyn" w odpowiedzi na zastrzeżenia, które podnieśliśmy pod adresem jego anonimowości, zawiadomił, że wydrukowaliśmy przecie skład redakcji „Zaczynu". Cóż to znaczy? Kto wydrukował? Przecież to czysty wymysł. Na inne nasze argumenty „Zaczyn" odpowiada zwrotami: klituś bajduś, kuku muniu. Oto dowód poważnej publicystyki, uprawianej przez tych państwowców. Ale powiedzonka te przypominają nam dawne czasy, kiedy kolportowano w legjonach utwory literackie i polityczne, pisane całkowicie tym stylem zuchowatym, który wówczas nad Stochodem miał może swoje uzasadnienie, ale dzisiaj w obliczu poważnych zagadnień dowodzi tylko dziwacznej wierności dla półinteligenckiego traktowania spraw publicznych.

Tot.

M. KUKIEL.

Stulecie zgonu Puszkina

Stulecie zgonu Puszkina uczciła Polska niepodległa nowemi, znakomitemi o nim studjami Wacława Lednickiego, świetnym szkicem prof. Marjana Zdziechowskiego, pysznemi przekładami Tuwima, powodzią artykułów w prasie, wieczorami uroczystemi. Złożyła hołd „wieszczowi ruskiego narodu“, „sławnemu pieśniami na całej północy“, z przebaczeniem i zapomnieniem dla twórcy „trylogji przeciwpolskiej“, dla wroga naszego narodu. Nie do pomyślenia byłby taki stosunek nasz do pamięci Puszkina w czasach niewoli. Możliwym stał się dzisiaj. Byliśmy długo „chorzy na Moskala“. Choroba wraz z przyczynami jej wygasa. Z czysto negatywnego, stosunek nasz do narodu rosyjskiego może i winien stać się pozytywnym. Winniśmy sobie lepsze niż dotąd, bo wolne od uprzedzenia, niechęci, goryczy krzywd doznanych z jednej strony, pychy pomieszanej z obawą ze strony drugiej, wzajemne poznanie i zrozumienie wzajemne. A Puszkin przecież „całą Rosję wyraził w swej poezji“ — pisze Lednicki. Otwiera wrota do zrozumienia duszy rosyjskiej. Rosyjski Dante (wedle słów Czaadajewa) staje się (według Lednickiego) jedyną łącznią między Rosją, a kulturą Europy, kulturą światową; ale jest także dotąd — jak był niegdyś dla „pielgrzyma przybylca z zachodu“ — przewodnikiem dla niejednego polskiego pielgrzyma w świat nieznany — w drogę do Rosji.

*

Puszkin był naszym wrogiem. „...Nawet najlepiej z literaturą rosyjską zaznajomieni Polacy nie zdawali sobie sprawy, do jakich granic Puszkin posuwał swoją *polityczną nienawiść* dla Polski“ (Lednicki, Puszkin, Krak. 1937, str. 55). Odsłaniają tę nienawiść sławne wiersze: „Oszczercom Rosji“, „Rocznica Borodina“, „Nad świętym grobowcem“, przez które stał się Tyrteuszem Rosji w jej wojnie z Polską 1831 r., a w których (jak wykazał Lednicki, Aleksander Puszkin, Studja, Kraków 1926, świeżo zaś uwydatnił Zdziechowski w „Słowie“ z 14.II) poezja stała się wyrazicielką racji stanu rosyjskiej, takiej, jak pojmował ją car Mikołaj I, wyrazicielką carskich myśli, gniewów, decyzyj i wyroków. Prof. Tadeusz Zieliński usiłował świeżo w artykule „Gazety Polskiej“ (z 10 lutego 1937) obronić Puszkina od zarzutu, że był naszym wrogiem. „Z prawdziwą ulgą“ przytacza ten uczony supozycję historyka cenzury rosyjskiej Skabiczewskiego, że wiersze te napisane były przez Puszkina „ze świadomym zamiarem uratowania się od prześladowań policyjnych“, w związku z rzekomą mową Lelewela w Warszawie, wygłoszoną w „Zgromadzeniu narodowem“, a wyrażającą hołd Puszkinowi. Wynika z powyższego (nawiasem mówiąc), że prof. Zielińskiemu nieznane są studja Lednickiego o Puszkinie, wyjaśniające wszystko, każdy zwrot, każdy akcent w „przeciwpolskiej trylogji“. Dalej, że nie sprawdził wcale, czy była w 1831 r. taka mowa Lelewela (idzie o incydent znacznie późniejszy, z 1834 roku) i czy było w Warszawie jakieś „zgromadzenie narodowe“. A wreszcie, że nie rozumie zgoła, iż to, co mu sprawia taką ulgę, jako wierzącemu w „przyjaźń Polski mickiewiczowskiej z Rosją puszkinowską“ — supozycja, że Puszkin wzywał do powalenia Polski, by uniknąć szykan policyjnych, to nie obrona — to zarzucona Puszkinowi nikczemność. Ale sprawa między Puszkinem a Polską rozgrywała się na poziomie wyższym, niż chce prof. Zieliński. Z ulgą stwierdzamy, że Puszkin nienawidził nas nietylko na użytek policji i cenzury, że nienawidził nas szczerze. Prof. Zieliński znajdzie u Lednickiego urywki listów Puszkina, współczesnych jego przeciwpolskim wierszom. Znajdujemy tam nienawiść pod maską lekceważenia i wzgardliwej niby — litości. I znajdujemy właściwy wyrok w słowach „ta wojna powinna być wojną eksterminacyjną“. Czy i to może pisane było na użytek „czarnego gabinetu“? Może w to wierzyć, kto z prof. Zielińskim tak upraszcza sprawę, że była wroga Polsce Rosja Nowosilcowa i Apuchtina i przyjazna jej, Rosja Puszkina i innych, lepsza i większa.

W istocie jednak trylogja Puszkina, a zwłaszcza wiersz „Oszczercom Rosji“, dały głęboką syntezę stosunku dziejowego Rosji, całej i niepodzielnej Rosji do Polski. Gdy Puszkin odmawia Europie prawa do mieszania się w „rodzinny spór słowiański“, między carem a zbuntowaną Polską, to przez niego mówi Rosja, jaką była od Katarzyny II do Mikołaja II, od Panina do Sazonowa. Gdy zestawia dwa tragiczne momenty tego „sporu rodzinnego“, Kreml i Pragę, wiążąc pamięć Minina i Pożarskiego ze wspomnieniem Suworowa, to uderza w struny duszy rosyjskiej, na których grano do ostatnich dni Rosji carskiej i w które Rosja Stalina znowu zaczyna trącać. Gdy oskarża zaborczość polską, sięgającą po litewskie ziemie, powstanie Litwy określa jako bunt, rzeź Oszmiany i egzekucje wileńskie, jako zasłużoną kaźń, to znowu wypowiada przekonanie powszechne swego narodu, że wszystkie ziemie dawnego państwa Gedymina, to ruskie dziedzictwo, przez Katarzynę odebrane zaborczym Lachom, oderwane niegdyś, teraz przywrócone. Gdy formułuje alternatywę: albo zwycięży Rosja, a wtedy wszystkie rzeki słowiańskie spłyną się w rosyjskiem morzu, albo Polska, a wtedy morze to wyschnie, to mówi nietylko słowami niemal Mikołaja, ale trafia w najgłębszą myśl Piotra i Katarzyny. Prof. Zieliński nie uznaje takiej alternatywy. I my jej nie uważamy za trafną. Morze rosyjskie mimo zwycięstwa Polski istnieje przecież nadal, doprawdy wciąż jeszcze i wielkie i groźne (choć jeden z historyków francuskich w świeżo wydanej książce stawia pytanie: czy mogą obok siebie istnieć wielka Polska i wielka Rosja). Ale rzeki słowiańskie morza tego już nie zasilą. W ujęciu sprawy wzajemnego stosunku dziejowego naszych dwóch narodów u Puszkina jest tragiczna sprawy tej wielkość. I jest głos rosyjskiej woli narodowej, w stosunku do Polski i Europy, woli takiej, jaka niekiedy, zrzadka, objawiała się w chwilach wielkich przesileń dziejowych. Jakiej rzecznikiem był Karamzin, groźnie przestrzegający Aleksandra przed jego zamiarami odbudowania Polski, a zwłaszcza przed wszelkiem wyodrębnieniem od Rosji ziem litewsko - ruskich. Jakiej rzecznikiem był wtedy i później Rostopczin i jego „Moskwitanie“. Jakiej wyrazicielami byli ci wszyscy, którzy grozili carowi Aleksandrowi losem ojca to za jego sojusz z Napoleonem, to za jego politykę polską. I niedarmo związał Puszkin w roku 1831 sprawę toczącej się wojny z pamięcią „wojny ojczystej 1812 roku“, która także była przecież wojną — o Polskę.

Mówimy o tem z tem większym spokojem, że, jak sądzimy, dokonywające się w ostatniem ćwierćwieczu procesy dziejowe prowadzą do odmiennego w przyszłości kształtowania się stosunków wzajemnych między Polską a Rosją. Ale narodom nie wolno zapominać niczego ze swych przeszłych doświadczeń. I nie wolno im się poniżać, chełpiąc się przyjaźniami, których nie było. A stać je na to, by uszanować wielkość genjuszu i natchnienia nawet u wroga, jakim (chociaż niezawsze) był nam Puszkin.

Akcesy

Do obozu pułk. Koca zgłosiły akces:	*Swego czasu, do B. B. W. R. zgłosiły akces:*
Zw. Strzelecki.	Zw. Strzelecki.
Pol. Fed. Obr. Ojczyzny.	Pol. Fed. Obr. Ojczyzny.
Zw. Harc. Polskiego (woj. Grażyński).	Zw. Harc. Polskiego (woj. Grażyński).
Legion Młodych.	Legion Młodych.
Zw. Oficerów Rezerwy.	Zw. Oficerów Rezerwy.
Zw. Legionistów.	Zw. Legionistów.
Zw. Peowiaków.	Zw. Peowiaków.
„Zarzewie“.	„Zarzewie“.
L. O. P. P.	L. O. P. P.
Z. Z. Z. (oddziały prowincjonalne).	Z. Z. Z.
Zw. Pracy Obyw. Kobiet.	Zw. Pracy Obyw. Kobiet.
„Straż Przednia“.	„Straż Przednia“.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Katolicyzm i socjalizm

(Możliwości porozumienia).

(Dokończenie).

III.

Socjalizm obchodzi kilkudziesięciolecia Komuny Paryskiej, wydania „Kapitału", śmierci Marksa: nic opatrzymy się, a od Manifestu Komunistycznego będzie nas dzieliło lat sto. Warto rzucić okiem na przebyty już szmat drogi, zlustrować zdobycze, zreasumować wnioski. Zdaje się, że w takim przeglądzie dorobku jedynie ludzie bardzo powierzchownie patrzący ustawią, jako jedyny pawilon wystawowy, kiosk Rosji sowieckiej. Jeśli zaś nas sumiennie oprowadzą po tym kiosku, ujrzymy, że mimo dwudziestolecie Października socjalizm znajduje się tam wciąż jeszcze w konstrukcji, przyczem wiele fundamentalnych jego zasad odłożono — architektonicznie rzecz biorąc, w sposób nieco zastanawiający — na koniec budowy, że wreszcie nawet „lewi" komuniści zalecali umiar i zwolnienie tempa socjalizacji, zaś ich przeciwnicy kolejno, w całym szeregu dziedzin, czynią miejsce dla odrodzonego prawa własności prywatnej. Bardzo być może, że te odchylenia od ortodoksyjnej teorji są tylko usłuchaniem wymogów życia, i że za to usłuchanie należy się ich twórcom raczej pochwała niż nagana. Jeśli jednak nawet w kiosku wystawowym „na stroikie" nie króluje dziś czysty socjalizm, — to niema chyba racji wytykać braku „czystego" socjalizmu innym pawilonom, które na tej pansocjalistycznej wystawie kilkudziesięciolecia pracy i walki mają prawo stanąć.

Wystawa przekona nas wówczas o bardzo ciekawych rzeczach. Że postęp socjalny nie stoi w prostym stosunku do ilości przelanej krwi: gdyby tak było, to nietylko Francja dzisiejsza ze swemi czterema rewolucjami 1789 — 1871 byłaby krajem najdalej zewolucjonowanym ustrojowo, ale przewyższałaby ją pod tym względem Hiszpanja, ze swemi 15 latami krwawych wojen domowych XIX w., puczami i zamachami, nie mówiąc już o szeregu republik Europy łacińskiej, szczególnie wyspecjalizowanych w tej formule postępu. Tymczasem tak nie jest. Wystawa przekonałaby nas najwymowniej, że trzy kraje skandynawskie i Anglja pod względem reform socjalnych i dobrobytu mas pracujących stoją wyżej od Francji, nie mówiąc już o cytowanych poprzednio państwach: że utrzymywały i najniezawodniej utrzymują nadal rządy półsocjalistyczne, to, co z Blumem w Paryżu było taką nowalją: że kultura ludowa, świadczenia społeczne, prawa i zarobki posiadane przez proletarjat w tych krajach wyróżniają go korzystnie od jego braci wszędzie indziej, że kraje te są stosunkowo najbardziej zsocjalizowane i dziełu tej socjalizacji nie można przeciwstawić poważniejszych ujemnych konsekwencyj. Kto wie, czy jako wzór przebudowy, państwa te nie będą brane pod uwagę przez inne? Otóż zwiedzając tak kioski duńsko - szwedzko - angielskie aż do bardzo czerwonej Norwegji, będziemy mogli stwierdzić jeszcze jedno, że właśnie w tych krajach postępy socjalizmu nie znały — czy prawie — walki z religją i kościołem, że jeśli nawet znaleźlibyśmy jej epizodyczne fragmenty, to w żadnym razie tej skali, co w reszcie Europy. Nie zamierzam wcale twierdzić, że brak owej walki, brak czy nikłość konfliktów religijno - socjalnych zadecydował wyłącznie o tem, że socjalizm tyle realnych osiągnął tam zdobyczy, jak nie zamierzam twierdzić, że było to wyłączną zasługą socjalistów czy duchownych. Prawdopodobnie złożyła się na to dobra wola i rozsądek stron obu. Nic da się także zaprzeczyć, że socjalizm na braku tej walki nie stracił, ale zyskał, że jej brak nie hamował jego postępów, ale je raczej przyśpieszył. Jest to zrozumiałe. Jeśli będziemy np. dyskutowali o sztuce i wprowadzimy do dyskusji pewne argumenty czy wywody w zupełnie różnej dziedzinie, np. ekonomiki czy polityki, najniezawodniej ta wkładka ani dyskusji nie ułatwi, ani jej nie skróci, ani jej naprzód nie posunie, przeciwnie zaś, wyeliminowanie z dyskusji tego wszystkiego, co do tematu ściśle nie należy, co się danej dziedziny nie tyczy, niezawodnie przyniesie rezultaty.

IV.

Nie należy sądzić na moment, żeby zrealizowanie podobnego współżycia było rzeczą prostą: wymaga napewno więcej trudów i starań, niż sobie wyobrażamy. Ale najniezawodniej wmieszanie kościoła i spraw religijnych do pewnych dyskusyj czy walki ustrojowo - polityczno - gospodarczej, nie leżąc zresztą w interesie Kościoła, nie leży także w interesie socjalizmu. Mniejsza, czy i w jakim stopniu zraża masy. Ale najniezawodniej uzbraja przeciw socjalizmowi bezbożniczemu, mobilizuje przeciw niemu. Najsilniejszem, najpowszechniej działającem hasłem bojowem po stronie Hiszpanji nacjonalistycznej jest właśnie obrona religji. Lekceważone na początku rewolucji, wydaje się dziś Valencji dużo poważniejszem, niż przedtem: świadczy o tem odrzekanie się od prześladowań religijnych, propaganda, wysuwająca „wielkich pisarzy katolickich" w rodzaju Jose Bergamina, lub autentyczniejszych katolików baskijskich, wiernych czerwonemu rządowi. Niestety, propaganda ta musi się potknąć o spalone kościoły i wymordowanych tysiącami księży, — i znowuż te ofiary są najsilniejszym argumentem przeciw socjalistom hiszpańskim. Któż zaprzeczy, że bez tego socjalizm hiszpański by zyskał? Otóż właśnie w próbach dojścia do porozumienia muszą obie strony pamiętać o pewnych zasadniczych cechach wzajemnej struktury i wznosić swoje próby z uwzględnieniem pewnych warunków terenu.

Warunkiem terenu katolickiego — może trudnym, ale istotnym — jest jedno: oto że katolicyzm jest nierozłączny od kościoła, jego organizacyjnej budowy, że z tą budową jest zrośnięty ściślej, niż jakakolwiek z partyj socjalistycznych z doktryną socjalistyczną, że budowa ta, to księża, biskupi, Rzym, że z tem wszystkiem trzeba mówić, albo to wszystko odrzucić, że wszystko wyrwane czy wyjęte z tej całości jest tak samo bez znaczenia jak bez znaczenia, jeśli chodzi o komunizm sowiecki, będzie najbardziej wpływowy wczoraj członek partji, wylany dziś przez Stalina. Organizacja kościoła nie ma w swej dyspozycji tak imponujących narzędzi jak GPU, takiej maestrji mise en scène jak prokuratura związku radzieckiego. Posiada jednak siłę moralną, instynkt ortodoksji, działający w sumieniach jeszcze potężniej. Każdy pisarz świecki, każdy ksiądz, nawet każdy dostojnik kościoła wypadły z obrębu tej społeczności, jest, jeśli chodzi o jego pożytek dla myśli współżycia dwóch sił, zupełnie straconym. Podczas pobytu w Madrycie widziałem parokrotne próby reaktywowania, wysuwania na czoło, głaskania przez rewolucję paru byłych księży, którzy byli wygnani, najczęściej za zgoła pospolite sprawki, z łona Kościoła. Bardzo szczerze odradzałem rządowcom podobną „akcję", jako nie mogącą przynieść żadnego rezultatu, tak samo jak do pogodzenia z socjalizmem nie prowadziłoby paktowanie z byłym socjalistą Millerandem czy byłym komunistą Doriotem, a w obu tych wypadkach może to spowodować niezasłużone, posądzenie o fałszywą grę przeciwnika. Nie wątpię, że na taki zarzut nie chciałby się narazić, że do tej roli nie pretendowałby ani katolicyzm, ani socjalizm. Natomiast sądzę, że ewolucja zainteresowań socjalizmu i ewolucja katolicka, w wielu krajach może nieraz niewidoczne, usuwają stopniowo punkty sporu obu czynników, że mnożenie tych punktów nie leży w niczyim z obu stron interesie, choć oczywiście leży w interesie najrozmaitszych „stron trzecich" po obu stronach, że zamiast szkodzić którejkolwiek, mogłaby być dla nich obu z korzyścią, że pomyślnie przeprowadzona byłaby dorobkiem do zanotowania zarówno w dziejach katolicyzmu jak socjalizmu.

Od Administracji

P. T. Prenumeratorów prosimy o wpłacanie prenumeraty za m-c marzec na konto P.K.O. Nr. 22822. W celu uniknięcia pomyłek prosimy o wyraźne podawanie nazwisk i adresów.

Kronika zagraniczna

PECH.

P. min. Becka prześladuje pech. Kiedy na Zamku wręczano uroczyście buławę marszałkowską, musiał właśnie być w Londynie. Kiedy pułk. Koc ogłaszał swoją deklarację polityczno - ideową, p. min. Becka przetrzymała grypa w Monte Carlo. Powróci, gdy już będzie wiadomo, czego się trzymać. Pech...

WIZYTA PREMJERA GOERINGA.

Tym razem myśliwski pobyt premjera Goeringa minął bez sensacyj. Były jakieś nieporozumienia i niezadowolenia protokólarne. P. min. Beck nie przerwał swego pobytu na Jasnym Brzegu. I nawet, zdaje się, nie szło o stworzenie sobie alibi, bo — nic się nie stało. Dłuższa rozmowa w Warszawie z marszałkiem Rydzem-Śmigłym nie wyszła, podobno, poza ramy ogólne, a do Białowieży marszałek Rydz-Śmigły przyjechał już po odjeździe premjera Goeringa na Polesie. Za to udały się polowania, a w centrum zainteresowania stał Warthoo von Feuerstein.

ZLOKALIZOWANY POŻAR.

Głośna afera marokańska była punktem zwrotnym w sprawie hiszpańskiej. Po szczęśliwem zażegnaniu tego przesilenia europejska straż pożarna zlokalizowała pożar. Sprawa hiszpańska została sprowadzona do znaczenia tylko rozgrywki wewnętrznej, której przebieg i wynik nie będzie już miał większego wpływu na bieg spraw europejskich. Taki jest sens zakazu wysyłki ochotników i zorganizowania kontroli międzynarodowej wokół Hiszpanji. Pożar, któremu zabraknie wkrótce materjału palnego zzewnątrz, powoli będzie dogasał. Zlikwidować musi go już Hiszpanja sama. I sama poniesie jego koszta.

POKOJOWOŚĆ NIEMIECKA.

W odpowiedzi na zbrojenia angielskie Trzecia Rzesza podkreśla swoją pokojowość. Ostatnie wystąpienia kanclerza Hitlera, generała Blomberga i in. pławią się w pokojowości. Nawet kombatanci czescy są przedmiotem specjalnej sympatji. „Dynamizm" przesuwa się na drugą stronę, ku demokracjom zachodu. Bo to zbroją się i Anglja i Francja, bo to Stany Zjednoczone wyraźnie je popierają, bo to rachuby na — rewolucję we Francji okazały się zupełnie zawodne. Trzeba więc trąbić na odwrót, starając się wytargować jeszcze, co się da.

SPRAWY RODZINNE.

Wizyta ministra v. Neuratha w Wiedniu jest sprawą rodzinną i to nie tyle pomiędzy Niemcami i Austrją, ile między Niemcami i Włochami. Idzie o siłę i wpływy hitleryzmu w Austrji, który po ugodzie podniósł głowę i znów staje się ważnym czynnikiem w wewnętrznej sytuacji, zrzucając przyłbicę i występując otwarcie w manifestacjach przy przyjeździe ministra spraw zagranicznych Rzeszy i w memorjale trzystu. Ale idzie głównie o to, kto będzie miał głos decydujący w Europie Środkowej, Niemcy czy Włochy, które dziś już, uwikłane w ciężką sprawę pacyfikacji i eksploatacji Abisynji nawet na powrót Habsburgów gotowe są się zgodzić, byle zagrodzić drogę swemu partnerowi z osi Rzym — Berlin do usadowienia się na granicy Brenneru. Tymczasem są to jeszcze spory w kółku rodzinnem. Ale mogą łatwo zacząć znów interesować całą Europę.



CAR I POLACY.

(K) Książe Adam Czartoryski mówi z carem Mikołajem I. Raczej z koronowam właśnie królem Mikołajem.

O co idzie? O spokój i zaufanie w kraju.

„Polacy mają wielki respekt dla prawa, umieją mu być posłuszni, tego tylko pragną...

Trzeba dać rządowi władzę odpowiedzialną, która mu z konstytucji należy, a której w istocie nie posiada...

Wini się Polaków, że są niesforni i że nie lubią porządku i posłuszeństwa; sądzę, że nie jest to słuszne, że nie są niesforni, tylko formaliści. Rozkazuj im, N. P., w imieniu prawa, a będziesz słuchanym z miłością i z uległością chętną. Chcą tylko wiedzieć, że jest prawo i prawa słuchać, a idzie tylko o to, by stanowić dobre prawa i praw tych się trzymać"...

Książe mówi. Car słucha i myśli, że z tymi ludźmi niepodobna się porozumieć. On do nich ze swą łaską monarszą. Oni z jakiemiś pretensjami. To, co ten mówi o prawie, to jakaś przyczepka, jakiś atak przeciw jego powadze monarszej.

I rozejdą się, mocarz Wschodu i mąż stanu Zachodu, do porozumienia niezdolni. Władca nie rozszedł się właściwie ze swym narodem. Bo nigdy on i Polacy nie zeszli się przecież ze sobą i zejść nie mogli.

NARÓD W KONSTYTUCJACH.

(K) W Ustawie Rządowej z dnia 3 maja 1791 roku czytamy (w pierwszem zaraz zdaniu):

„...ze stanami skonfederowanemi *Naród Polski* reprezentującemi..."

A dalej, że lud rolniczy „najliczniejszą w *narodzie* stanowi ludność..." (art. IV).

A dalej, że „wszelka władza... początek swój bierze *z woli narodu*..." (art. V).

że „*naród* winien jest sobie samemu obronę od napaści..." oraz że wojsko to wyciągnięta siła z ogólnej siły *narodu*..." (art. XI).

W „carskiej" Ustawie konstytucyjnej Królestwa Polskiego z 27 listopada 1815 czytamy m. inn.:

„*Naród Polski* mieć będzie wiecznemi czasy *reprezentację narodową*..." (art. 31).

Nie było narodu polskiego w Ustawie Konstytucyjnej Księstwa Warszawskiego 1807 r. — to leżało w samem założeniu państwa (Polska musiała występować pod pseudonimem). Nie było go również w Statucie Organicznym 1832 r. — to był wynik przegranej rewolucji i przegranej wojny. Rozgromienia narodu.

Oczywiście powrócił naród polski do miejsca naczelnego w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z 17 marca 1921 roku, w której pierwszym zwrocie dziękczynnym do Opatrzności występuje jako podmiot życia państwowego, a w rozdziale I jako „władza zwierzchnia" w państwie.

Odmiennie wyglądają rzeczy w Ustawie Konstytucyjnej z 23 kwietnia 1935 roku.

Jest tam mowa o Rzeczypospolitej Polskiej i o państwie polskiem. W żadnym z 81 artykułów nie użyto wyrazów „naród polski".

W Konstytucji z 17 marca „naród polski" wspominał z wdzięcznością męstwo i wytrwałość ofiarnej walki pokoleń, które najlepsze wysiłki swoje sprawie niepodległości bez przerwy poświęcały".

Co z tego podniosłego zwrotu przeszło do Ustawy kwietniowej?

„Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli.

Wskrzeszone walką i ofiarą najlepszych swoich synów ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia w pokolenie."

Czegoś tu brak. Państwo polskie nie zostało wskrzeszone walką i ofiarą najlepszych *swoich synów*. Nie istniało bowiem państwo, gdy dokonywały się walki i ofiary. Tym, który walczył i ofiary ponosił był nie wymieniony w stylizacji tej naród.

„Państwo polskie... ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia w pokolenie..."

Czyjeż to mają być pokolenia, na które Ustawa składa odpowiedzialność za państwo polskie?

Te pokolenia, które mają za państwo „odpowiadać przed potomnością swoim honorem i swojem imieniem"?

Ależ to są, jak dotąd, pokolenia, bezimienne! Ze stylizacji tego art. 1 wynikałoby: pokolenia państwa polskiego. Ależ państwo, twór polityczny, nie ma „pokoleń". Jakież nadać im imię?

Kiedyś stary O. Jakub Wujek, tłumacząc Pismo, nieściśle nazwał pokoleniami części ludu wybranego: Juda, Izrael, Efraim, Manasse i t. p. Ale to były *plemiona*. Nie o takich oczywiście pokoleniach mówi Ustawa. Ale o generacjach, idących po sobie, z których każda następna, sama w sobie świadomie spoista, wiąże się z poprzedniemi świadomością swego od nich pochodzenia, moralnej z niemi jedności, dziejowego po nich dziedzictwa.

Ale te pokolenia, to naród. I nie inny bodaj w tym wypadku, tylko polski. Albowiem państwo nosi nazwę „polskie".

Jest on zatem i w konstytucji kwietniowej. Pod pseudonimami. Należy ją tylko czytać uważniej, interpretować skrupulatnie, wystrzegając się zbyt pohopnej krytyki na temat rzekomego zagubienia w niej narodu.

Niedawno ołówek cenzorski skreślił nam niektóre przypomnienia z dziedziny naszej historji konstytucyjnej. Mamy nadzieję, że tę apologię obowiązującej Ustawy konstytucyjnej oszczędzi, szanując naszą bezstronność i objektywizm historyczny.

IRENA PANNENKOWA

Pisarze „odważni" i „prześladowani"

W interesującej relacji z debat nad przyznaniem nagrody „Wiadomości Literackich" za rok 1936 czytamy m. in.:

„...Nagroda „Wiadomości" stanowi jedyną okazję do odznaczenia Uniłowskiego, którego cechują *odwaga* wypowiedzenia się, i którego „Dzień Rekruta" postawił niejako *na indeksie*" (podkreślenie nasze).

„Odwaga"? „Na indeksie"? Ossietzky'emu w Niemczech dzisiejszych przyznać się musi odwagę i stwierdzić fakt, że jest na indeksie. Ale Uniłowski? W Polsce?

Innego, zupełnie innego stylu pisarze są w Polsce dzisiejszej naprawdę odważni i naprawdę są na indeksie.

Jakie jest oblicze literackie Uniłowskiego?

Rozpoczął on karjerę od ogłoszenia powieści „Wspólny pokój". Rozgłos swój zawdzięcza ta powieść podobno głównie faktowi, że mówić ma jakoby o pewnych postaciach ze świata literacko - artystycznego. Rzecz tembardziej sensacyjna, że atmosfera powieści jest ohydnie duszna i, żeby się tak wyrazić, i fizycznie i moralnie... nie pachnąca. Krąg zainteresowań jest tam zdumiewająco płaski i ciasny. Tło akcji, obok „wspólnego pokoju", stanowi także wspólna.. ubikacja, skąd ustawicznie dochodzi szmer spływającej wody. Tej wody jest rzeczywiście w tym utworze za dużo. Autor opowiada wciąż o niej i o ubikacji, z takim samym niezrozumiałym uporem, z jakim małe, źle wychowane dziecko powtarza wciąż, wbrew zakazowi, jakieś zapamiętane nieprzyzwoite wyrazy. Odwaga? Swoistego rzędu...

Potem pojawił się artykuł „Dzień rekruta". Niepotrzebna, bezsensowna nawet, zdaniem naszym, konfiskata tego artykułu, umiejętnie wyzyskana dla reklamy autora, uczyniła z niego w pewnych kołach odrazu „bohatera" i „męczennika".

W rzeczywistości — jakże wyglądało owo męczeństwo?

Jakoś bardzo niedługo po tej konfiskacie, „prześladowany" przez władze Uniłowski otrzymał od tychże władz *stypendjum* wysokości paru tysięcy złotych na podróż do Brazylji. Na łamach „Wiadomości Literackich" oglądaliśmy fotografje „prześladowanego" pisarza, zdejmowane razem i za pan brat z konsulem brazylijskim, czyli — oficjalnym przedstawicielem „prześladowców". Owocem tej podróży stała się książka „Żyto w dżungli", gdzie autor w dalszym ciągu rozwija swą niezaprzeczoną zdolność dostrzegania i opisywania spraw i sprawek małych, obrzydliwych, cuchnących, — i to w sposób, który niczego istotnego nie wyjaśnia, do niczego zasadniczego nie zmierza. Jakto powiedział Mickiewicz? — Dziury i plamy na obrazie dostrzeże każdy, ale zalety obrazu zobaczy tylko znawca. P. Uniłowski, okazuje się, znawcą spraw życiowych nie jest... „Cuduś w dżungli" zatytułował swoje uwagi o tej cudacznej istotnie książce Andrzej Mikułowski (Myśl Narodowa, nr. 50, 1936). A poeta marynistyczny, Zbigniew Jasiński, nazwał ją „chybionym zbytecznym reportażem z terenów naszego wychodźtwa w Brazylji" („Szkwał", wyd. Ligi Morskiej i Kolonialnej, nr. 2, 1937).

Jak widać, społeczeństwo nietyle musi bronić Uniłowskiego przed prześladowaniem ze strony władz, ile — bronić siebie, ażeby z pieniędzy podatkowych społeczeństwa władze nie obdarowywały zbyt hojnie swej „ofiary", na to, by za tę cenę powstawały potem „zbyteczne, chybione reportaże"..

Gdzie tu odwaga? gdzie tu męczeństwo?

*

Drugim takim pisarzem, odważnym i prześladowanym" ma być—Emil Zegadłowicz. Powód? Skonfiskowanie powieści „Zmory", które nawiasem mówiąc, wobec rozpętania się niebywałej reklamy, dało autorowi rozgłos większy, niż to uczynić zdolała cała jego uprzednia działalność pisarska.

Cóż to są „Zmory"? Powieść pornograficzna, i zarazem namiętny atak na duchowieństwo katolickie oraz na nauczycielstwo małopolskie w okresie przedwojennym. Ktokolwiek znał i pamięta stosunki tamtejsze z tego okresu, wie, że były to czasy odrodzenia religijnego i odrodzenia prądów oświatowo - pedagogicznych. Między innemi: wszakże to *ci* nauczyciele wychowali młodzież, która wypełniła szeregi Legjonów — albo przedzierała się później na Murman i do Francji... *Ci* księża bądź z ks. Panasiem i Żytkiewiczem na czele wstępowali do Legjonów, bądź też pracowali ofiarnie i z zapałem w Książęco-Biskupim Komitecie...

Powiedział któryś Francuz: jeśli książka w zetknięciu się z mózgiem czytelnika wyda dźwięk tępy i głuchy, nie zawsze to jest winą — książki. Możnaby, trawestując to powiedzenie, także stwierdzić: jeśli pisarz dostrzega w rzeczywistości i opisuje tylko rzeczy małe, płaskie i ohydne, nie zawsze jest to wina — rzeczywistości.

Na rzekomo „odważne" i „męczeńskie" przemiany przekonaniowe p. Zegadłowicza rzuca ciekawe światło artykulik, zamieszczony w katowickiej „Polonji" z 10 b. m., a pochodzący, jak redakcja informuje, „z kół ludowych". Czytamy tam:

„P. Zegadłowicz długie lata służył *za hojnem wynagrodzeniem klerowi* w Poznaniu. Gdy mu tam przestano płacić, oddał się *do dyspozycji B. B.* krakowskiego i ówczesnego wojewody Kwaśniewskiego. *Było to niedługo po Brześciu, pacyfikacji* w Łapanowie Nockowej, Grodzisku, Wólce i t. p., przeprowadzonej przez pp. Kwaśniewskiego i Małaszyńskiego. Jak się okazało, *nie zrobił tego p. Z. bezinteresownie, spłacono bowiem hojnie jego długi i obmyślono mu wcale grzeczną pensję miesięczną*, jako prezesowi, redaktorowi, działaczowi i t. p. Związku sanacyjnej młodzieży wiejskiej... *Zadaniem p. Z.* i organizacji, na czele której go postawiono, *było podcięcie gnębionego zewsząd Związku młodzieży „Znicz"*.

Oto więc, kto gnębił a kto był gnębiony!

Gdy jednak, czytamy dalej w Polonji, „po pewnym czasie zerwały się stosunki najmu", p. Z. wystąpił z kolei z powieścią „Zmory". I — nowa przemiana! Nagle,

„jakby nigdy nic, jakby tyle lat nie był na utrzymaniu sfer, które teraz zaczął „osmarowywać", jakby nie był chętnym działaczem sanacji po Brześciu, jakby sobie nie dawał urządzać jubileuszu przez władze administracyjne i bebeckich przywódców, chce naraz p. Z. przedstawić się za ideowego trybuna ludowego".

Rzeczywiście takie przerzucanie się — od katolicyzmu do wojującego bezbożnictwa, od opozycyjnego nacjonalizmu do rządowego sanacjonizmu, od gnębienia demokracji ludowej do jej „obrony", — to wszystko bez cienia uzasadnienia, bez wytłumaczenia się, bez żadnego *mea culpa*, to są zwroty, „w których szczerość — pisze autor tegoż artykułu — nikt nie uwierzy". Albowiem czytamy dalej:

„Wszak p. Z. nie był dzieckiem, gdy za dobrych czasów sanacji ssał skwapliwie jej pierś i kieszeń. Wtedy swój stosunek do ruchu ludowego układał według wskazówek województwa i B. B. Lepiejby było, aby p. Z. dzielił z sanacją nietylko jej dolę, ale i niedolę — i nie ukazywał się w roli nauczyciela demokracji i pisarza chłopskiego. Do tej roli *trzeba mieć charakter. A tego p. Z. nie objawił,* choćby i w tem, że ogłasza paszkwile na tych, u których za dobrych czasów służył".

*

Są jeszcze w Polsce pisarze odważni, którzy ryzykują, jeśli nie Berezę lub nie napaść „nieznanych sprawców", to, co może gorsza, usunięcie poza nawias wszelkich karjerowych, ba, czasem wprost zarobkowych możliwości, swojego rodzaju uśmiercenie za życia. Ci napewno nie dostaną nietylko stypendjum, ale bodaj i paszportu ulgowego na wyjazd. Ale ci milczą o sobie, a i inni też naogół z roztropną ostrożnością o nich milczą, lub jeszcze roztropniej, wogóle ich nie dostrzegają.

Panom U. i Z. nic podobnego nie grozi. Ani upodobanie w wiadomego rodzaju drastycznych opowiadankach i wyrażonkach, ani wojowanie z duchowieństwem, jakkolwiekby się kto na to zapatrywał, nikomu jeszcze w Polsce nie przeszkodziło w robieniu fortuny.

Niechże więc robią fortuny, niech biorą nagrody, niech się reprezentują i adorują się wzajemnie. Jednego wszakże czynić nie wypada. Nie róbcież panowie, bohaterów i męczenników ze stypendystów i beneficjarjuszy reżimu, dlatego tylko, że udało im się oberwać jakąś jedną jedyną konfiskatę, która zresztą posłużyła za doskonałą odskocznię do reklamy i dalszej karjery.

Zostawcie pisarzom naprawdę bezinteresownym i prześladowanym jedyne dobro, jakie im pozostało, i jakie stanowi ich cechę niewątpliwą — odwagę.

DR STEFAN KRAMSZTYK.

Metamorfoza i kryzys człowieka

I.

„Czy przyczyny kryzysu są wyłącznie charakteru ekonomicznego i finansowego? — zapytuje w znanej obecnie swej książce „L'homme cet inconnu" znakomity biolog C a r r e l. Czyż nie należy, mówi ten uczony, winić również korrupcję i tępić polityków i finansistów, ignorancję i iluzje ekonomistów? Czyż życie współczesne nie zmniejszyło inteligencji i moralności całego narodu?" Nie ulega wątpliwości, że kryzys światowy bardziej zależy od czynników natury indywidualnej i społecznej, aniżeli od czynników ekonomicznych. Przyglądanie się upadkowi naszej cywilizacji zmusza nas mimowoli do zadania sobie pytania, czy przyczyna złego nie znajduje się równie dobrze w nas samych, jak w naszych urządzeniach społecznych?

Nie ulega wątpliwości, że doskonalenie typu ludzkiego, rozwijanie w nim zalet fizycznych i duchowych było słabą, choć może i bezwiedną myślą przewodnią całej naszej cywilizacji. Indywidualność bowiem, jak słusznie twierdzi wspomniany powyżej C a r r e l, stanowi podstawowy charakter człowieka. Nie zasadza się ona tylko na pewnym wyglądzie zewnętrznym ciała i umysłu. Przenika ona całe nasze jestestwo i jest przez to jedynem w swoim rodzaju zjawiskiem w historji świata.

Wolny, nieskrępowany rozwój jednostki jest nierozdzielnie związany z pojęciem cywilizacji europejskiej. Idea ta sięga początkiem swym czasów klasycznej Hellady, tworzenia się chrześcijaństwa. Wspaniały rozwój Aten w epoce Peryklesa, które osiągnęły najwyższy, być może, w dziejach stopień doskonałości typu ludzkiego, wydając z siebie jaknajwiększy odsetek genjuszów o olbrzymiej skali, jest klasycznym dowodem tego, że ustrój społeczny oparty na zasadach udoskonalonej demokracji może doprowadzić do najznakomitszych wyników twórczości człowieka. W połowie ubiegłego wieku uczony angielski Galton, twórca eugeniki, obliczył, że na 135.000 mężczyzn, którzy przyszli na świat w Attyce w ciągu stu lat między rokiem 530 a 430 przed Nar. Chr., przypadło 14 tak znakomitych mężów, jak Sokrates i Plato, Sofokles i Eurypides, Temistokles i Arystoteles.

Inaczej rzecz się ma, gdy idzie o ustroje społeczne, gdzie człowiek nie istnieje jako indywidualność, lecz wchodzi w skład gromady, wyćwiczonej jednakowo i wyrównanej masy. Jak tego dowodzą dzieje cywilizacji, takie gromady ludzkie mogły tworzyć niejeden czyn wielki, jak budowa piramid, przekopywanie wielkich kanałów, osuszenie błot, lecz z łona swego nie wydawały genjuszów.

Już równorzędnie do Aten istniał w starożytności oligarchiczny ustrój spartański. Spartańczyk nie należał do siebie, lecz do państwa; rzeczą wyłącznie państwa było wychowanie obywateli, przyczem sprawność fizyczna była głównym, jeżeli nie jedynym jego celem. Myśl, aby być jedynie cegiełką do budowy państwa, jest nie do zniesienia dla europejczyka. Dla niego państwo jest zawsze środkiem, nigdy celem. Ukrytym jego ideałem jest bezpańskość, anarchja i stan zupełnej wolności politycznej. Tylko ponieważ taki stan nie da się połączyć z europejskiem przeludnieniem, techniką i amoralnością — europejczyk godzi się z państwem. Ale pragnąłby on być jak najmniej rządzonym, jak najbardziej wolnym". Tak charakteryzował C o u d e n h o v e — K a l e r g i, teoretyk Paneuropy, przeciwko któremu to indywidualizmowi wystąpiły teraz wrogie i potężne prądy. Oto na przestrzeni, więcej niż czterokrotnie przewyższającej przestrzeń Europy, przetwarza się w sposób gwałtowny i niesłychanie radykalny całą istotę ludzką; nie wchodzą tu już w grę żadne cechy dziedziczne czy nabyte. Z pełną świadomością, z wytrwałą, pewną swego celu systematycznością dokonywa się tu przemiany na 160 miljonach indywidualnych stworzeń, a czyni się to w służbie nowej idei, nowego pojęcia o egzystencji ludzkiej, w walce przeciwko temu, co dotychczas uważane było za rzecz naturalną.

Wszystko, co dzisiaj dzieje się w Rosji, dzieje się dla masy. Według nowej filozofji bolszewickiej jednostką jest właściwie masa, a poszczególny osobnik jest tylko „skrzepem", który dzięki pewnym przypadkowym procesom powstał w bezpostaciowej masie. Czemś realnem jest tylko i jedynie pojęcie kollektywnonieosobowe, osobnik zaś, czyli „skrzep" nie jest wytworem przyrody, lecz fantazji, martwej przeszłości, wrogiego zachodu, jednem słowem — burżuazji. Wyższa, prawdziwa jednostka, masa jest organicznym zbiorem poszczególnych osobników dla celów wzmożonej aktywności, ale osobnik taki jest tylko cząstką, członkiem bez osobnej egzystencji. Rozbudowa nowego świata powstaje dzięki masie dla masy; indywiduum, obarczone szczególnemi cechami jest anomalją, przeszkodą. A więc wszystko, co stanowi odrębne właściwości jednostki, musi ulec zniszczeniu, natura musi być naprawiona, człowiek musi być przebudowany.

Dziedziną, gdzieześrodkowuje się indywidualne cechy osobnika, jest jego życie duchowe; dla światopoglądu bolszewickiego dusza jest czemś kontrrewolucyjnem. Kierunki myśli, które miały na celu najwyższy możliwie rozwój istoty duchowej człowieka, starały się wykorzystać tę ostatnią ponad wszelkie istniejące szranki; ideologja holszewicka musi zwalczać wszelkie możliwości takiego rozwoju jednostki, gdyż to stoi w poprzek jej ostatecznym wytycznym.

„W czasach pańszczyzny — mówi R u n d t w swej książce „Der Mensch wird umgebaut" („Człowiek podlega przebudowie") — człowiek był jednostką systemu płatniczego; „pan" liczył i płacił duszami; obecnie pojedyńczy towarzysz ma służyć jako jednostka do mierzenia siły. System bolszewicki nie potrzebuje zupełnie jednakowych 160 miljonów jednostek siły; one muszą być podzielone na odrębne serje w zależności od miejsca i czynności, jakie są przydzielone każdej w ogólnej masie". Przed nowym człowiekiem stoja nowe zagadnienia. Zanim wykończone zostaną w Rosji wszystkie wielkie fabryki na wzór amerykański, należy wyszkolić w odpowiednim kierunku miljony robotników".

Wysoki rozwój techniki maszynowej w Ameryce prowadzi do tego, że od poszczególnego robotnika wymaga się tam nie więcej, niż jednego określonego chwytu. Rosja nie może jeszcze tem się zadowolnić, daleko jej jeszcze do takich udoskonaleń technicznych, i dlatego potrzebni jej są robotnicy bardziej wykwalifikowani. I tych robotników trzeba przygotować. I oto powstaje „Liga czasu", — posiadająca swe oddziały w całem państwie — „instytutu pracy" — poświęcone „gimnastyce technologicznej". „Stwórz sobie mechanika twego czasu — głosi hasło propagatora tej nowej wiedzy — obliczać czas — to znaczy żyć dłużej! Jeżeli posiadasz klucz swego czasu. to jesteś inżynierem twego życia!" I gimnastyka technologiczna obiecuje w ciągu jednego roku przerobić pół miljona opieszałych i niewprawnych ludzi na wykwalifikowanych, szybko pracujących robotników. Każdy z uczniów instytutu pracy posiada swą „chronokartę"; gdy potrafi żyć ściśle według tej karty, będzie już „inżynierem swego życia".

Ale najwyższy szczebel zagadnienia nowego człowieka polega na tem, czy uda się przekonać 100 miljonów mózgów chłopów rosyjskich o wyższości gospodarki kollektywnej nad indywidualną. W Kołchozach i Sowchozach dawny chłop rosyjski ze swą niezmiennie prymitywną gospodarką znalazł się wobec zagadnienia „podniesienia intensywności według amerykańsko - kanadyjskiego wzoru". W sowchozach, tych olbrzymich domenach państwowych, powstałych z dawnych dóbr szlacheckich, zamienionych na fabryki zboża, tworzy się nowy typ chłopa — robotnik rolniczy, który wskutek wzmożonej mechanizacji pracy zbliża się do robotnika fabrycznego. Różni się on od robotnika na wielkich fermach Kanady i Stanów Zjednoczonych, nie posiada żadnych warunków istnienia samodzielnego; żyje w wielogłowem osiedlu, ujętem w ścisłe karby zewnętrzne.

II.

To, co przedewszystkiem uderzyło A n d r é G i d e' a, który świeżo wrócił z Rosji — to zniwelowanie społeczne człowieka. Ujrzał on społeczeństwo bezklasowe, którego każdy z członków posiada jedyne i te same potrzeby. Niezwykła jednostajność, która panuje w ubiorach, charakteryzuje bez wątpienia również i umysły tych obywateli. „Na pierwszy rzut oka — pisze autor francuski — osobnik rozpływa się tutaj w masie i jest tak mało wyodrębniony, że zdawałoby się, iż dla określenia ludzi należałoby tu mówić nie o człowieku jako takim, ale o czemś z człowieka".

Obok tego rzuciła się w oczy socjologowi francuskiemu niezwykła indolencja ludu moskiewskiego, jego nieznaczna wydajność pracy, która wymaga nadzwyczajnych bodźców. Ta to inercja masy należy zdaniem G i d e' a do najważniejszych i najtrudniejszych zagadnień, jakie miał do rozwiązania S t a l i n, a do zwalczania której używano udarników i stachanowców. Ta sama jednostajność zewnętrzna i wewnętrzna typu ludzkiego, jaka cechuje tłum na ulicach Moskwy, występuje także i wśród ludności zatrudnionej w kołchozach: tutaj również panuje zupełna depersonalizacja. W każdem z mieszkań widzi się jedne i te same odrażające meble, tenże portret Stalina i nic więcej! Żaden najdrobniejszy nawet przedmiot nie ma najmniejszego charakteru osobistego. Szczęście wszystkich uczestników kołchozu uzyskuje się jedynie drogą dezindywidualizacji pojedyńczego osobnika, z uszczerbkiem dla tegoż osobnika. Jeżeli chcą być szczęśliwi, muszą być zrównanymi. Być może, że ludzie tem życiem żyjący nie czują już ani tej bezładnej mieszaniny, w jakiej przebywać jest im danem, ani też zupełnego braku możności skupiania się w sobie.

Istnieje w państwie sowieckiem pęd ku kształceniu się, ku podnoszeniu poziomu kulturalnego, ale wszystko to istnieje tylko po to, aby szerzyć poczucie szczęścia i zadowolenia z sowieckiej rzeczywistości. Wszelka samokrytyka ograniczona jest a priori pewną linją uświęconą, poza którą wzbronione jest wszelkie rozumowanie.

I oto, stwierdzając to, A n d r é G i d e dochodzi do wniosku, że nic nie stanowi takiego niebezpieczeństwa dla kultury, jak właśnie ten stan umysłów, jaki panuje w sowietach, a przedewszystkiem rozpowszechniony tam kompleks wyższości, który uważa, że wszystko, co dzieje się w Republice Rad, jest szczytem doskonałości. Obecnie wymaga się tam od obywateli bezwzględnej akceptacji, bezwzględnego uzgodnienia, przytem aprobacja ta nie może polegać na rezygnacji, lecz musi być oparta na szczerości, na entuzjazmie. Najsłabszy protest, najmniejsza krytyka podlega surowym karom i zostaje natychmiast stłumiona. G i d e przypuszcza, że w żadnym kraju obecnie, nie wyłączając Niemiec hitlerowskich, duch ludzki nie jest mniej wolny, więcej skrępowany i sterroryzowany, aniżeli rzecz się ma w Rosji Sowieckiej.



ORAWSKIE WSPOMNIENIE I O JANIE TOMCSANYM.

Na Babią Górę ruszyliśmy około południa, kiedy się trochę wypogodziło. Ale we mgle gęstej na szczyt nie trafiliśmy, zgubiliśmy ten szlak, ale zato trafiliśmy na Orawę, tę Orawę, która choć do programu naszej wycieczki nie należała, była dla nas krainą marzeń, jak całego naszego przedwojennego, krakowskiego, pokolenia młodzieży.

Jak tam jasno za górami!... Stare marzenie szczepów zamieszkałych na północnych stokach łańcuchów górskich: iść zobaczyć, jak tam po stronie cieplejszej, wygrzać się w tamtem słońcu. A dla nas na Orawie i to było przyjemne, żeśmy tam, w kraju, gdzie wszystkie napisy były madziarskie, spotykali ludność, nie bez niespodzianki dla nas, polskiej mowy. Wracał jeden z wycieczki i opowiadał, że tam tacy górale, jak koło Zakopanego i Dunajca; drugiego nęciło, żeby to pójść sprawdzić. Szliśmy cały dzień, przez bór wspaniały, mgły wznosiły się słupami i dymiły zupełnie jak w tem porównaniu „jak z trybularzy", potoki poulewne szumiały nam cały dzień, cały dzień wspaniałe maliny nachylały się do nas, wilgotne i czerwone, i przez cały dzień nie spotkaliśmy żywej duszy. Dopiero nad wieczorem usłyszeliśmy długie śpiewy kobiet. Za chwilę wynurzyły się trzy dziewczyny, obładowane koszami malin, przemokłe, podkasane, ogorzałe, sprężyste; nazwałem je sobie: „dziewki górskie". Szły do leśniczego, „do Puolski". Przyjemnie nam było to słowo par excellence literackie, inteligenckie, szkolne, uroczystościowe, usłyszeć jako słowo n a p r a w d ę, i z żywych ust chłopskich...

Byliśmy więc już na Orawie. Zeszliśmy szybko, aby przed wieczorem wyjść z lasów i zanocowaliśmy w Zubrzycy Górnej u żyda w karczmie. Wieczorem, siedząc w karczmie, rozmawialiśmy trochę z ludźmi, wszyscy jeszcze byli w guniach brunatnych, między nimi był jakiś wspaniały typ, istny olbrzym (z tej potężnej rasy babiogórskich Waligórów) i bardzo zawadjacki, Antek Nowak. Ale ciekawszy był Wojtek Solawa, starszy już człowiek, cieśla wędrowny, w jedną stronę do Budapesztu i nad serbską granicę zachodził, w drugą do Warszawy i na Mazowsze, za pracą chodząc zwiedził te dwa dorzecza, które razem dają cały własny uzupełniający się wzajem świat, Wisły i Dunaju.

„Sawa, Drawa i Orawa,
Dunaj, Wisła i Dunajec
i szumiący Wag..."
(Pamiętacie z Tetmajera?... Kto pamięta Tetmajera?!).

Solawa zdawał sobie sprawę, że jest Polakiem, na drugi rok otrzymałem odeń list, ortografją bardzo samorodną: „Panowie, przyjeżdżajcie do tej s t a r e j P o l s k i!..."

Na drugi dzień rano ruszyliśmy przez Orawkę, gdzieśmy sobie ten stary, ładnie malowany kościołek drewniany oglądnęli (dziś o nim wiadomo, wtedy to było nasze „odkrycie"), potem na przełaj górkami, pagórkami, przez Piekielnik, gdzieśmy znowu napotkali słupy: M a g y a r O r s z a g, A r v a V a r a l y a — i tu wyszliśmy z granic krajów korony św. Szczepana. Weszliśmy na ten gościniec prosty i bity, który idzie na południe do Czarnego Dunajca i szliśmy przez czarnodunajecką równię, smętną i daleką, jakby jakiś step ukraiński, tylko że na horyzontach ciemnią się góry. Za nami, od Babiej, szła czarna chmura. Nasze trzydziesto-pięcioletnie (t. j. moje i mego młodszego brata r a z e m licząc) nogi, waliły po gościńcu potężnym marszem i w południe byliśmy już na stacji w Czarnym Dunajcu. Właśnie był tego dnia targ i na kolei było pełno górali, pełno białych guń, kapelusików z muszelkami, orlich nosów, jakby się było weszło wprost z gościńca na scenę teatru. Tymczasem ulewa z Babiej Góry nadbiegła; na peronie, brat mój, zamiłowany kucharz, przyrządził na maszynce jakąś pamiętną jajecznicę. Wieczorem, ciągle w deszczu maszerując, spaliśmy gdzieś koło Sieniawy. Góral, do któregośmy zaszli, zaprosił mię gościnnie: „Siadaj chłopec koło watry!" Usiłowałem dać mu do poznania, że się do mnie nie mówi „per ty", bo jestem już na uniwersytecie. „Co to jest?" Gdzie się uczą na profesorów. To dopiero mię pogrążyło. „Prefesury beskurcyje!" Jego uczył stary dziadek na książce do nabożeństwa i on umie czytać, a teraz dzieci chodzą do szkoły, kosztuje to, i nic nie umieją. Ale, mimo iż się przygotowywałem do tak bezwartościowego zawodu, okrył nas bardzo troskliwie, gdyśmy z bratem, zmarznięci wielu godzinami ulewy, ułożyli się do snu pod piecem, razem z kurami. Na drugi dzień waliliśmy przez Spytkowice, Jordanów, Osielec, do Makowa, gdzie na nas czekały poste - restante pieniądze na powrót koleją; już dość mieliśmy tej ulewy blisko trzydniowej — (a ja i po 20 gwoździ w każdym bucie, z mapą i ołówkiem w ręku obliczałem sobie, że przeszło dwa miljony gwoździ w tej turze pieszej z Krakowa i naokoło Babiej, wbiło mi się w nogi). Koło Makowa napotkaliśmy furkę, spieszyło się nam, prosiliśmy, żeby nam pozwolił przysiąść się, odmówił. Pieniędzy nie mieliśmy, aleśmy jeszcze mieli duży kawałek czekolady; wyjąłem ją z plecaka, zrównałem się z furą i liżąc w biegu czekoladę, głaskałem się po brzuchu i robiłem wniebowzięte miny; zastanowiło to woźnicę; zatrzymał się: „co to jest?" Skosztujcie. Polizał. „Przyda się dla dziecka, siadajcie". Za godzinę, zadowoleni z pięknej wycieczki, jechaliśmy do Krakowa.

Wróciło mi to wspomnienie z r. 1913, ta tura przez Babią Górę, Zubrzycę, Orawkę, Piekielnik, do Czarnego Dunajca i dalej, gdym w P r z e g l ą d z i e W s p ó ł c z e s n y m nr. 176 przeczytał wspomnienie żałobne o ś. p. Janie T o m c s a n y i m (1873 — 1935), znanym przyjacielu Polski na Węgrzech, Polski a także i poszczególnych Polaków (co świadczy o cierpliwem sercu Zmarłego), tłumaczu licznych utworów polskich na język węg. z „Chłopami" na czele, zbieraczu książek polskich, szerzycielu znajomości spraw polskich, obrońcy praw polskich, do Pomorza, do Wilna, w prasie węgierskiej, gorliwym szermierzu przyjaźni polsko - węgierskiej, obdarzonym słusznie i sprawiedliwie Polonią Restitutą. Otóż Tomcsanyi, jak podaje p. Adrjan Diveky, był urodzony w „Pekelniku na Orawie". Jest to ten sam Piekielnik, z któregośmy uciekali do Czarnego Dunajca przed ową chmurą, co waliła z nad Babiej Góry. Czyli: Tomcsanyi był takim samym rdzennym góralem polskim, jak ci, urodzeni w Dzianiszu, Ludzimierzu, Ratułowie.

A nazwisko „Tomcsanyi" było przybranem. Nazywał się przedtem, o czem zapewniam, bo informacja pierwszorzędna, M a r m u ł a. Wychował się w szkole węgierskiej, bo Piekielnik to był jeszcze Magyar Orszag, i nic to ś. p. Tomcsanyemu nie ubliża, że czuł się Węgrem, bo wtedy jeszcze tam czucie przynależności polskiej było raczej osobistym, i heroicznym raczej „wynalazkiem", niż obowiązującym moralnym standartem. Tomcsanyi swoją „drogę do Polski" odkrył później, między 30 a 40-ym rokiem życia, ale wtedy już i Węgry kochał (co, zdaje się, jest dosyć łatwem; — chciał służyć teraz i Węgrom i Polsce: patrjota dwóch narodów. Jako „Węgier" mógł lepiej nawet nad Dunajem Polsce przysługiwać się, niż gdyby był do polskości przyznawał się. Człowiek zasłużony i niczem, dalibóg, nie chcę Jego pamięci ubliżyć. Ale wolno mi, przy sposobności, zauważyć, że w podwójnej narodowości musi być coś m o r a l n i e t r u d n e g o... Choćby nawet motywy tej ambicji były szczere i czyste. Proszę: Polacy dziwili się Tomcsanyemu, jak się on dobrze, M a d z i a r, nauczył po polsku, a Tomcsanyi z błędu nie wyprowadzał, ba, nawet znalazłem gdzieś i kiedyś interwiew, w którym T. opowiadał, że dopiero dorosłym poznał polszczyznę... Widocznie obawiał się, żeby jego pochodzenie nie rozgłosiło się, aż na Węgry. To dość dziwne... Przecież jakiś był porządny człowiek, a polskość pokochał, polskości służył serdecznie! ale w tej służbie i kochaniu było coś dwuznacznego, tajnego, jakby cudzołożnego, jakby się przed legalną madziarską małżonką był krył z tem, że go do Polski ciągnęło, skłonnością widać najczulszą wstydził się tej czułości. Jacy ludzie są dziwni... A może, jeszcze częściej niż ludzie, sytuacje są dziwne?...

Cyrano.

N. B. Ostatnie zdanie w poprzednim „Pretekście" (w n-rze 11) powinno brzmieć: „zachwalano nam libertynizm, nowości potrząsając kwiatem, a to stary i dość płazi egoizm beatorum possidentium".

WASSAN - GIREJ DŻABAGI.

Teokracja Japońska Mikado synem bogini słońca

Nowy premier japoński, jen. Hajaszi, oświadczył w swem exposé, że podstawą Konstytucji japońskiej jest teokratyzm.

Jeszcze Hegel dowodził, że monarchje na Wschodzie są oparte na teokracji. Nippon stanowi istotnie pod tym względem przykład najbardziej jaskrawy.

Pierwszy paragraf Konstytucji japońskiej postanawia, że „w imperjum Nipponu panuje i rządzi nieprzerwana po wieczne czasy linja cesarzy". Trzeci artykuł mówi, że cesarz jest „święty i nietykalny".

W postanowieniach tych streszcza się, aczkolwiek w sposób niewystarczający, całe uwielbienie, jakiem Japończycy otaczają od niepamiętnych czasów osobę swego monarchy. Uczucie to odaje najdokładniej w swym komentarzu do Konstytucji japońskiej margrabia Ito w wyrazach następujących: „Imperjum japońskie musi się identyfikować do końca z dynastją cesarską, nieprzerwaną w swej linji. To też artykuł pierwszy Konstytucji oznacza, że zasada ta nie była inną ani w przeszłości, ani nie będzie w przyszłości, aż po wieczne czasy".

Ten sam autor dodaje jeszcze, że „władza suwerenna nad państwem i rządem została odziedziczona przez cesarza od swych przodków i jest przekazywaną przez niego swym następcom. Różne władze w państwie, ustawodawcza i wykonawcza, za których pomocą monarcha rządzi krajem, są zjednoczone w wysokiej osobie suwerena, który dzierży w swych rękach, tak, jak to było zawsze, wszystkie nici życia politycznego kraju, zupełnie tak samo, jak mózg w ciele ludzkiem stanowi pierwsze źródło wszelkiej działalności umysłowej, ujawnianej przez inne członki i części ciała".

Dogmatem szyntoizmu, religji narodowej Japończyków, jest zasada: „Aby wejść na drogę nieba, wystarczy spełniać wolę mikada". Zatem wiara japońska jednoczy się z patrjotyzmem. Wiara ta w świętość cesarza była tak głęboka i powszechna, że każdy bunt przeciwko osobie monarchy uchodził za zbrodnię tak wielką i niesłychaną, że dawniej żołnierze szoguna pierzchali w przerażeniu przed sztandarem cesarskim. Istotnie, przed 69 laty wystarczyło, aby mikado Mutsuhito, pragnąc przywrócić dynastji pełnię władzy i usunąć szogunów, którzy rządzili faktycznie państwem w ciągu przeszło 700 lat, oświadczył: „Szogun Kaiki zwrócił się do Nas z prośbą przyjęcia z powrotem dowództwa nad wojskami i Myśmy przystali na tę prośbę", aby szogun i naród usłuchali woli swego monarchy.

Z powyższego wynika, że państwo, cesarz i bóstwo stanowią w wyobraźni i sercu Japończyka niezamąconą niczem jedność. Stąd też oddanie się i poddanie woli cesarza jest dla każdego obywatela Nipponu źródłem patrjotyzmu, wyznaniem wiary i największem bohaterstwem.

Dynastja japońska jest najstarszą z panujących jeszcze w świecie całym. Obecny cesarz Hirohito jest mianowicie uważany za 124 monarchę. Historja japońska twierdzi, że panowanie pierwszego cesarza, Tenno Dżimmu, przypada na okres 660 — 581 lat przed Chrystusem. Data powyższa nie jest dokładnie ustalona, lecz przypuszczalna.

„Tenno Dżimmu" oznacza tyle, co pierwszy z linji cesarzy, bo on właśnie podbił środkową Japonję i został uznany przez ogół ludności za cesarza (tenno). Od niego też zaczyna się era japońska (obecnie 2597 rok).

Tenno Dżimmu był potomkiem w prostej linji Wielkiej Bogini Słońca — Amateratsu - Omikami. Swemu wnukowi, Ninigi - no - Mikoto, wręczyła ona trzy emblematy cesarskie — lustro, miecz i różaniec z drogich kamieni, i zesłała go z nieba do zachodniej części Japonji. Tenno Dżimnu był swoją drogą wnukiem Ninigi - no - Mikoto i został, dzięki swym podbojom, pierwszym cesarzem. Co do trzech symbolów władzy cesarskiej, są one dotychczas przekazywane podczas uroczystości koronacyjnych nowemu monarsze.

Któż to była ta wielka bogini słońca — Amateratsu - Onikami?

Szyntoizm („droga bogów") uczy, że na początku niebo i ziemia istniały razem i że pierwiastek żeński nie był jeszcze oddzielony od pierwiastka męskiego. Chaos istniał w postaci jaja, zawierającego w sobie wszystkie zarodki. Ulatniająca się część jaja stworzyła z czasem niebo, a część twarda — ziemię. Następnie powstał i Duch (bóg, kami). Z chwilą powstania ziemi i nieba, lądy i wyspy pływały nad wodą, jak ryby. Duch zaś rozpoczął rodzinę bogów, w liczbie siedmiu, panujących nad różnemi żywiołami. Siódmy duch, Izanagi, dał początek duchom ziemskim. Otóż z lewego oka Izanagi wytrysła Amateratsu, tak piękna i błyszcząca, że oświetliła niebo i ziemię i została boginią słońca; z prawego zaś oka Izanagi powstał Suzan — bóg morza.

Amateratsu rozpoczyna okres bogów rzeczywistych, po których następują w prostej linji: śmiertelnik Ninigi-no-Mikoto i jego potomkowie, a więc dzisiejsi cesarze Nipponu.

Ponieważ Japończycy, tak samo, jak i Chińczycy, są narodem odznaczającym się w najwyższym stopniu cnotami rodzinnemi, otaczają oni przeto niezwykłą czcią swych przodków, których uważają jakby za żyjących nadal w rodzinie.

Z drugiej strony, cały naród, mieszkający w ciągu kilku tysiącoleci na wyspach w odosobnieniu od innych, stanowi jakby jedną wielką rodzinę, której ojcem jest cesarz. Ze względu zaś na pochodzenie boskie domu cesarskiego, panująca dynastja jest swoją drogą uwielbiana jako bóstwo. Dowodzi o tem między innemi ten fakt, że obecnie jeszcze dla określenia pojęcia rządów jest używany w języku japońskim wyraz „matsurigoto", czyli akt składania hołdu pamięci przodkom cesarskim. W ten sposób cesarz stanowi najgłówniejszy faktor, punkt środkowy całego życia religijnego, społecznego i państwowego Nipponu. W tych warunkach Japończyk nie może sobie wyobrazić swej państwowości bez cesarza: Japonja musi i będzie zatem rządzona do nieskończoności przez tę samą dynastję.

Wszelka próba, zresztą nader rzadko czyniona przez jednostki, i to jedynie za naszych czasów racjonalizmu, pozbawienia cesarzy japońskich czci boskiej, spotyka się zawsze ze strony społeczeństwa japońskiego z najgwałtowniejszą reakcją i nawet represjami administracyjnemi. Pamiętamy, że jeszcze dwa lata temu rząd tokijski wystąpił z urzędowym protestem wobec rządu Stanów Zjednoczonych za to tylko, że pewne wydawnictwo amerykańskie pozwoliło sobie przedstawić mikada w karykaturze.

W roku zaś ubiegłym został raniony przez jakiegoś fanatycznego Japończyka, a następnie pozbawiony katedry jeden z największych uczonych japońskich, prof. uniwersytetu Imazo Nitobe, za to, że dowodził, iż władza cesarska stanowi jeden z organów władzy konstytucyjnej, a nie jest czynnikiem suwerennym, nadrzędnym, nadprzyrodzonym.

Co się tyczy ustosunkowania się samych cesarzy do swych poddanych, najlepiej charakteryzuje się ono oświadczeniem, złożonem przez ojca panującego obecnie mikada, podczas koronacji. Cesarz ten, Taiszo Tenno, w manifeście do narodu, pisał: „Prawość jest stosunkiem pomiędzy panującym a poddanym, tak samo, jak miłość jest stosunkiem pomiędzy ojcem i synem".

Tedy dzisiejszy premjer, jen. Hajaszi, miał najzupełniej słuszność, gdy twierdził w deklaracji urzędowej, że podstawę konstytucji Nipponu stanowi teokratyzm i że jego gabinet będzie rządził krajem zgodnie z tą zasadą.

Na zakończenie dodamy, że cesarz Japonji nie koniecznie musi być mężczyzną. Tak 33-cim cesarzem, imieniem Suiko (592 — 629 r.) była kobieta. Po niej panowało w Japonji jeszcze osiem kobiet, z których ostatnia, Gosakuramaczi, zajmowała tron w latach 1762-1770.

Obecny cesarz Hirohito, którego drugie imię brzmi „Szowa" (epoka oświeconego pokoju") panuje od 1926 r.

Książki nadesłane

Dr. Władysław Natanson. Prądy umysłowe w dawnym Islamie. Lwów — Warszawa 1937.

„Jeżeli w twem sercu, jak w starym zwoju pergaminu, dzieje ludzkie zawiłemi arabeskami nie są zapisane, nie poznasz czystego złota w dziwnym życia stopie. Lecz wykryj, co uczynili poprzednicy nasi, którzy już zeszli ze świata: setne nowe żywoty wzbogacą twą duszę". Te słowa, obcą dopisane ręką, czytamy w czcigodnym, dawnym manuskrypcie arabskim".

Do omówienia świetnej książki przystąpimy niebawem.

Przegląd Prasy Krajowej

ZA I PRZECIW.

Niedzielna deklaracja pułk. Koca znalazła już ocenę w prasie wszystkich odłamów społeczeństwa. Ocena ta w wielu wypadkach jest z konieczności bardzo powściągliwa, ale tem niemniej niezmiernie dla nastrojów społecznych charakterystyczna.

Sensacją sui generis stał się artykuł *Kurjera Polskiego*, któremu *ABC* i *Warsz. Dziennik Narodowy* poświęcają czołowe miejsca w przeglądzie prasy.

W artykule tym czytamy:

...„Jest takie piękne powiedzenie w Ewangelji: „Nie każdy, kto mówi, Panie, Panie, wnijdzie do Królestwa Niebieskiego...” (Mat. VII, 21). I nie każdy, kto mówi naród, naród, istotnie do tego narodu się zwraca i odwołuje. Albowiem nie tylko tak mówić trzeba, ale i tak działać należy.

...Porwać człowieka za sobą można rozmaicie: sercem za serce i ręką za kołnierz. W pierwszym wypadku trzeba odwołać *się do najlepszych instynktów w narodzie*, w drugim — do państwowych organów przymusu, do policji...

Ten przymus, stosowany przez państwo, *musi mieć za sobą nie tylko siłę, jaką państwo rozporządza.* Musi mieć przedewszystkiem *legitymację moralną.*

Tą legitymacją moralną jest zjednoczenie narodu w obronie uznanych przez siebie wartości, wartości przyjętych z głębokim przeświadczeniem, aktem swobodnej woli.

Naród cały musi być „porwany” sercem za serce, zanim ta czy inna jednostka będzie „porwana” ręką za kołnierz.

Inaczej zbyt dużo trzebaby tych rąk, żeby trzymać i... demoralizować społeczeństwo przymusem mechanicznym, który nie jest usprawiedliwiony przymusem moralnym, jaki *wytwarza świadoma wola narodu*”.

O samej deklaracji, jej treści i... organizacji, związanej z jej ogłoszeniem, pisze *Dobry Wieczór-Kurjer Czerwony*”.

„Bez żadnej przesady stwierdzić należy, że cała Polska, która czuje i myśli, znalazła się przy głośnikach w domach prywatnych i lokalach publicznych, przy megafonach na placach i ulicach.

Według przybliżonych obliczeń Polskiego Radja, przemówienia płk. A. Koca wysłuchano w dniu wczorajszym i dzisiejszym około 5.000.000 ludzi.

Tak niespotykany oddźwięk, tak powszechny udział mas jest najlepszym dowodem, że deklaracja odpowiadała dojrzałej potrzebie psychicznej społeczeństwa”.

Wieczór Warszawski notuje:

„Płk. Koc wygłosił swoją deklarację w gmachu Polskiego Radja. Przemówienie jego trwało 26 minut, a było powtórzone przez radjo w niedzielę, o godzinie 22.30, *w trakcie audycji z koncertu Kiepury i Marty Eggerth*”.

Zarówno w stolicy, jak i w kraju zainstalowano w lokalach publicznych i na placach megafony, około których gromadziły się tłumy publiczności.

Z notatki tej trudno się zorjentować, czy tłumy przybyły dla wysłuchania deklaracji, czy też... koncertu — zwłaszcza, że *Express Poranny* pisząc, iż

„...W niektórych miastach ruch na ulicach ustał niemal zupełnie. Ludność gromadziła się na placach i w lokalach publicznych, słuchając proklamacji płk. Koca”.

dodaje jednocześnie następującą uwagę:

„Gdy wczoraj wieczorem Jan Kiepura rozpoczął swój koncert w Krakowie, megafony w kawiarniach stołecznych obiegły tłumy. Wszystkie stoliki były zajęte.

...Ktoś spóźniony cichutko otworzył drzwi i na czubkach palców wszedł do kawiarni, starając się przejść niepostrzeżenie. Na jego spotkanie nie pospieszył zresztą usłużny kelner.

Przecież śpiewa Kiepura!”

Wątpliwości rozwiewa *Kurjer Czerwony*, podkreślając głęboką treść nowej deklaracji.

„W zwięzłych, pełnych głębokiej treści formułach dał płk. Adam Koc zarys podstawy, na których ten nowy obóz opierać się będzie”.

Warszawski Dziennik Narodowy stwierdza natomiast, że

„...Wymieniona „Deklaracja” bardzo niewiele przynosi nowego. Są w niej albo znane skądinąd oświadczenia lub opinje, albo też nowe sformułowania bardzo ogólne i ogólnikowe”.

Podobnie i *Kurjer Warszawski* zauważa, że

„...Jeśli się powtarza takie oto dość znane niewątpliwie, lubo jeszcze dalekie od wcielenia w życie rzeczy, to może się wchodzi na drogę utartą. Ale nie jest wcale źle, gdy społeczeństwo polskie dowie się jeszcze raz, że prawdy, obowiązujące i głoszone setki lat temu, nie tylko nie straciły na wartości, lecz, przeciwnie, są trwale żywotne i przewodnie.

„...Prawdy, które p. pułkownik nam przypomniał, są, jak się rzekło, prawie że odwieczne. Piszemy się na nie wszyscy — wszyscy prócz rewolucjonistów. Uważamy je za bezsporne. Jedyna kwestja: jak je zamienić na praktyczną monetę polityczną

„Albo się nie oczekuje współpracy narodowej i wtedy nic potrzeba apelować do narodu; albo też, słusznie widząc we współdziałaniu warunek siły państwowej, należy powiedzieć wyraźniej o tym, co się myśli o formalnych tego współdziałania ramach politycznych. Taka tu tylko alternatywa”.

Natomiast.

„Okoliczność tak niepospolicie sprawnej popularyzacji idei p. Koca uważamy za pomyślną. Jest to bowiem zawsze czynnik politycznie kształcący, gdy ogół zapoznaje się z prawdami wieczno-trwałymi, z myślami rozsądnymi, z chęciami roztropnymi. A właśnie takie są cechy charakterystyczne deklaracji wczorajszej”.

Podobnie pisze *Polonia*

„A zatem treść mowy p. płk. Koca nie może wywrzeć znaczniejszego wrażenia. Bez przeszkody można powiedzieć, że ogólna tkanina mowy tej jest społeczeństwu znana z setek i tysięcy mów, w których przewijały się podobnezdania. Nie będzie też maże dalekie od prawdy wrażenie, iż jako objaśnienie wezwań marsz. Śmigłego-Rydza w mowie z 24-go maja 1936, a mianowicie ze strony jednej grupy politycznej w kraju, mowa ta nie wzbogaca i nie wzmacnia zwięzłych haseł tamtego wystąpienia.

W wystąpieniu tym nie widać styczności z szerokim światem życia polityczno-obywatelskiego w kraju. Sprawia ona wrażenie czegoś oderwanego od życia zbiorowego. I to jest rys rozstrzygający tego wystąpienia.

O organizacji i „przygotowaniu gruntu” pisze *Nasz Przegląd.*

„Uroczyście poprzedzone zostało przemówienie naczelnego komendanta Adama Koca.

W *Gazecie Polskiej* ukazał się w niedzielę artykuł wicemarszałka sejmu Bogusława Miedzińskiego, a dalej entuzjastyczna „Sylweta Adama Koca”.

Przemówienia tego oczekiwano z naprężeniem. Poprzedzone bowiem ono zostało komentarzami i zapowiedziami. Oczekiwano nietylko programu, ale i drogi wyjścia z sytuacji oraz sposobu powołania nowego obozu do życia”.

tymczasem.

„Program wczorajszy to szyfr, który będzie rozwiązany w ciągu dłuższego czasu przy pomocy specjalnie do tego powołanej organizacji”.

Goniec Warszawski podkreśla, iż

„..Płk. Koc i jego organizacja przystępują do pracy w warunkach znacznie gorszych od tych, jakie miał płk. Sławek, gdy tworzył B. B. W. R., którą po paru latach musiał rozwiązać.

Czują to zapewne redaktorzy pism prorządowych, bo wczorajsze oświadczenie płk. Koca tytułują: „Deklaracja ideowo-polityczna obozu tworzonego przez płk. A. Koca”.

Tytuł ten świadczy, że *cała odpowiedzialność za nową organizację legjonową spada na barki płk. Koca*”.

Na ten niezmiernie ciekawy i charakterystyczny szczegół zwraca uwagę również *Dziennik Popularny*, który omawiając komunikat „Iskry” o tem, że

„Wszystkie organizacje i poszczególne osoby, zgłaszające akces *do akcji płk. Adama Koca*, są proszone o nadsyłanie zgłoszeń telegraficznie lub listownie pod wskazanym adresem”.

zauważa:

„Należałoby chyba ustalić terminy. Czy „akcja całego narodu” czy „akcja płk. Koca”?

Gazeta Polska opatruje wiadomości o akcesach takim wstępem:

„Mimo, że od chwili wygłoszenia przemówienia dzieli nas zaledwie kilka godzin, ze wszystkich stron kraju nadchodzą już wiadomości o zgłoszeniach akcesów do akcji zjednoczenia narodowego”.

Dziennik Popularny pisze p. t. „Nastrój w „Gazecie Polskiej”.

„Gazeta Polska” podaje reportażyki z lokali Zw. Legjonistów, Peowiaków i t. p. Na jednym takim zebraniu, *przyjęto, jak z poniższego wynika, deklarację p. Koca za rozkaz:*

„Po zakończonym przemówieniu rozległy się oklaski. Ktoś rzuca rozkaz: „Baczność koledzy. To rozkaz Naczelnego Wodza”.

Jak podkreśla z całym naciskiem cytowany już *Kurjer Czerwony*, deklaracja pułk. Koca.

„Przyjęta była wczoraj z olbrzymiem zainteresowaniem przez ludność miast i wsi, i wywołała odrazu pozytywny efekt w postaci *akcesu licznych i potężnych organizacji społecznych*”.

ABC w trzecim nakładzie po konfiskacie podziwia sprawność P. A. T'icznej.

„Mniejwięcej o godz. 18-ej zakończył płk. Koc swoje przemówienie. Już w półtorej godziny po tem, t. j. o 19 m. 30 PAT rozesłał następujący komunikat:

„Deklaracja płk. Adama Koca ogłoszona w dn. 21 lutego b. r. oczekiwana przez cały naród polski w niesłychanym napięciu, wywołała powszechny entuzjazm najszerszych rzesz polskich.

Sekretarjat płk. Adama Koca otrzymuje ze wszystkich stron kraju zgłoszenia akcesu do akcji zjednoczenia narodowego”.

Jest to chyba rekord sprawności służby informacyjnej. W ciągu niespełna półtorej godziny zebrać i opublikować informacje z terenu całego kraju. To się naszej PAT-nej nie często zdarza”.

I dalej, p. t. „Rekordowe tempo w Zw. Oficerów Rezerwy”.

„Związek Oficerów Rezerwy ma też do zanotowania swojego rodzaju rekord.

Jak podaje P. A. T. „*natychmiast po zbiorowym wysłuchaniu* deklaracji płk. Adama Koca, Związek Oficerów Rezerwy odbył zebranie, które uchwaliło akces do akcji pułkownika Adama Koca, stając na stanowisku konsolidacji wszystkich twórczych sił narodu polskiego przy sztandarze wojskowym".

O godz. 7-mej wieczorem redakcja nasza otrzymała drukowaną odezwę.

Odezwa zaczyna się od słów: „*Wysłuchaliśmy* z głębokiem przejęciem przemówienia pułk. Adama Koca.." i jest podpisana przez gen. Góreckiego, jako prezesa i por. Bergera.

„W przeciągu godziny Związek Oficerów Rezerwy zdążył odbyć zebranie, uchwalić, akces, ułożyć i wydrukować tekst pisma i doręczyć go redakcjom. Związkowi Oficerów Rezerwy należy się bezsprzecznie pierwsze miejsce w „wyścigu entuzjazmu".

Okazuje się jednak, że Zw. Oficerów Rezerwy stać na jeszcze większe „rekordy", bo jak donosi *Warsz. Dziennik Narodowy*, redakcja tego pisma otrzymała powyższą odezwę już.

W niedzielę, 21 lutego, o godz. 17-ej. a więc na 29 minut *przed* rozpoczęciem przemówienia.

Dziennik Popularny zauważa na ten temat:

„Rozumiemy entuzjazm, rozumiemy rozkaz, ale nie rozumiemy, *jak można wysłuchać przemówienia na pół godziny przed jego wygłoszeniem*".

O BIULETYNACH P. A. T.

PAT, jak PAT —
w zachwyt wpadł.

Z Prasy Zagranicznej

WYROK AKADEMJI.

Niemiłem echem obiła się w świecie europejskich uczonych sprawa sowieckiego matematyka Łuzina, członka sowieckiej Akademji Nauk, który był również czynnym członkiem Warszawskiego Towarzystwa Naukowego i jedynym z Rosjan doktorem honoris causa Uniwersytetu im. Józefa Piłsudskiego. Sprawa ma podkład charakterystyczny dla stosunków, panujących w wyższych ośrodkach naukowych w Sowietach. Albowiem:

„koledzy i byli uczniowie zażądali usunięcia go z pośród członków Sowieckiej Akademji Nauk, zarzucając mu, że poważne swe prace systematycznie ogłaszał zagranicą, że pozostał prawicowy, że był wrogiem klasowym, no i wreszcie — okradał swoich uczniów".

Sowiecka Akademja wydaje wyrok, nieoczekiwanie, jak na tamtejsze stosunki, łagodny: ostrzeżenie Łuzina, że

„w razie braku zdecydowanego przełomu w jego dalszem postępowaniu, prezydjum będzie zmuszone natychmiast postawić sprawę wykluczenia Łuzina z szeregów akademickich".

Czytamy w moskiewskiej *Prawdzie* groźnie skonstruowane motywy wyroku:

„W osądzeniu sprawy Łuzina wzięły udział najszersze koła społeczności Z. S. R. R., które jednomyślnie napiętnowały jego działalność antysowiecką, jego fałszywe i dwulicowe postępowanie, całkiem niedopuszczalne dla uczonego sowieckiego, które się nie da pogodzić z godnością rzeczywistego członka Akademji Nauk".

Komisja zaś dla sprawy Łuzina w swoich wnioskach zarzuciła mu

„stosowanie systemu zacierania autorstwa jego uczniów i przenoszenia tego autorstwa na siebie. Szczególniej charakterystyczny jest przykład przyswojenia sobie największego odkrycia zmarłego matematyka sowieckiego Suslina".

Dodajmy, że Suslin zmarł w 1919 roku. O brzydkiem przywłaszczeniu przypomniano sobie — a może je zauważono? — po siedemnastu latach. Jak zaś sprawa w rzeczywistości wyglądała, wyjaśnia nam p. R. Zut., snać dobrze z materjałem obeznany, w „Kurjerze Warszawskim":

„Ponieważ w tem miejscu Komisja powołuje się na polskie czasopismo naukowe, więc rzecz możemy łatwo sprawdzić. W inkryminowanej pracy Łuzin cytuje Suslina aż 8 razy, wszędzie, gdzie należało, natomiast na str. 3 (którą wskazano w zarzutach) Łuzin nie miał żadnego obowiązku cytować Suslina. O tem wszystkiem oczywiście sądzący członkowie Akademji Nauk doskonale wiedzieli. Wydając swoje orzeczenie, popełnili zatem zwykłe oszustwo. I to jest właśnie najtragiczniejsze: poziom moralny uczonych sowieckich.

Zniszczono moralnie jednego z najtęższych uczonych sowieckich, a usłużni koledzy i uczniowie nie wahali się, dla zabezpieczenia swoich własnych stanowisk, wytaczać przeciw niemu najcięższych zarzutów, o których fałszywości nie mogli przecież wątpić.

W tych warunkach współpraca uczonych państw kulturalnych z uczonymi sowieckimi będzie naturalnie niemożliwa. Nie można przecież utrzymywać stosunpów z żadną z trzech istniejących w Sowietach kategoryj uczonych: oskarżonych, którym współpraca z zagranicą grozi fatalnemi konsekwencjami; oskarżycieli, którzy dla karjery lub ze strachu przed chwilowymi panami sytuacji gotowi są na wszelką nikczemność; i wreszcie z najliczniejszą może kategorją tych co się boją, aby ich nie posądzono o jakąkolwiek współpracę z zagranicą".

Prof. Łuzin od chwili oskarżenia nie wydał żadnej pracy naukowej. Krążą wersje, że przebywa w „sanatorjum".

WIZYTA MIN. V. NEURATHA.

Wiedeń przyjął ministra Urzędu Zagranicznego Rzeszy niezwykle owacyjnie. Olbrzymią manifestację tak charakteryzuje *Paris Soir:*

„Dla bezstronnego obserwatora było coś odpychającego w tym widoku tysięcy flag hitlerowskich, rozwieszonych po całym Wiedniu, i tych podnieconych tłumów, które zdawały się zapominać zupełnie o swej niepodległości".

Cała prasa wiedeńska powitała p. Neuratha bardzo gorąco W *Wiener Neueste Nachrichten* wita go wstępnym artykułem minister spraw wewnętrznych, Glaize-Horstenau:

„P. v. Neurath przybywa w otoczeniu licznego sztabu osób pierwszorzędnego znaczenia, coby dowodziło, że ta pierwsza od 1931 roku wizyta członków rządu niemieckiego w Wiedniu nie ma na widoku jedynie aktu kurtuazji, lecz jest nieomal pewnem, że dostojny gość omówi z kanclerzem i ministrem spraw zagranicznych wszelkie sprawy bieżące tak o charakterze międzynarodowym, jak i narodowym, które interesują oba państwa".

Urzędowa *Wiener Zeitung* spodziewa się, że

„ta dwudniowa wizyta będzie nowym impusem dla tej polityki, która się opiera na protokółach rzymskich oraz na osi Rzym-Berlin".

Natomiast *Reichspost*, witając „wizytę gorąco oczekiwaną" artykułem pełnym uprzejmości a nawet słów serdecznych, nie omieszkała wtrącić:

„Szkoda, że nadzieje jednej partji w Austrji na ułożenie się stosunków religijnych w Niemczech w wyniku umowy normalizacyjnej austro - niemieckiej — do tej pory się nie ziściły".

Miarodajne zazwyczaj enuncjacje berlińskiego *Völkischer Beobachter* są pełne optymizmu:

„Są wszelkie widoki na przywrócenie normalnych stosunków między Austrją a Niemcami. Układ z 11 lipca był już uzupełniony przez traktaty handlowe i turystyczne. Jedyną właściwie, a jednocześnie najważniejszą, sprawa, jaka jeszcze stoi na przeszkodzie kompletnemu porozumieniu, jest sprawa Habsburgów. W niektórych centrach politycznych zagranicą, mianowicie w Pradze i w Paryżu, chcianoby spekulować na tej sprawie w kierunku rozdzielenia na nowo Austrji i Niemiec".

ZBROJENIA ANGIELSKIE.

Imponujący wysiłek Anglji w kierunku dozbrojenia wywołał we Francji falę entuzjazmu. Przytaczamy charakterystyczny głos *Action Française:*

„Parlamentaryzm brytyjski wypowiedział swoje „*mea culpa*". Po obniżeniu pogotowia wojennego do poziomu, który nie odpowiadał ani potrzebom narodowym i imperjalnym kraju, ani zobowiązaniom międzynarodowym, podpisanym przez Anglję, rząd angielski podejmuje się operacji nagłej i fantastycznej. Historja Wielkiej Brytanji wskazuje, że kraj ten nic nie umie robić połowicznie".

POLONICA.

ECHA PEWNEJ DEKLARACJI.

Pisze *Berliner Tagblatt:*

„Nie można pominąć faktu, że w kołach politycznych panuje pewne rozczarowanie: więc to ma być wszystko, co pułkownik Koc po dziewięciomiesięcznych przygotowaniach ma do powiedzenia? Nierównie silniej niezadowolona jest opozycja. Pisma: „Ekspress Poranny", konserwatywny „Czas" i organ ciężkiego przemysłu „Kurjer Polski" powstrzymały się od zajęcia stanowiska".

Azet.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1,50; zagranicą zł. — 2,— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ st. — zł. 125,—; ¼ str. — zł. 75,—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. **WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.**

Zakłady Graficzne DRUKPRASA, Nowy-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.